



ODGŁOSY

ROK XIX, NR 33 (975)

12 SIERPNIĄ 1976 r.

CENA 3 ZŁ



TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

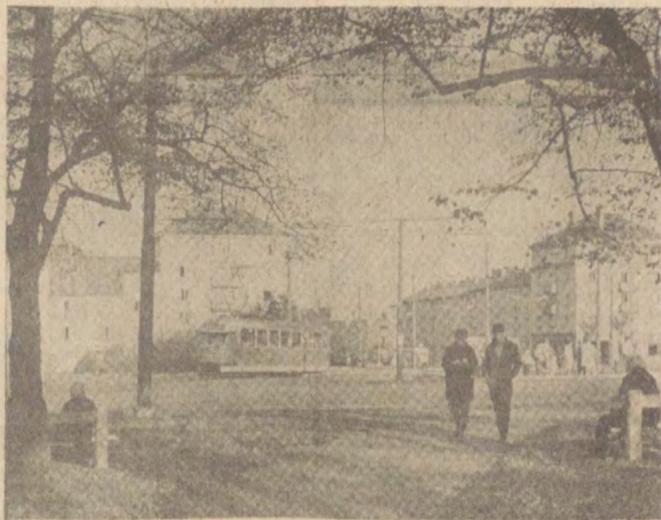
REPORTAŻ ZAGRANICZNY

ANDRZEJ MAKOWIECKI

DZIEŃ W LUDWIGSBURGU

Pożegnaliśmy się na dworcu w Amsterdamie, bo bywa tak, że do tego samego domu trzeba jechać dwoma różnymi pociągami. Ten sam dworzec, ten sam peron, z początku nawet ta sama trasa, ale jesteś już w innym składzie, w pustym przedziale i nie masz do kogo otworzyć ust.

W Kolonii byłem późnym wieczorem i przesiadłem się tam na pociąg do Stuttgartu. W przedziale, do którego wszedłem, jechał tylko jeden człowiek. Siedział przy zamkniętym oknie i zamkniętych drzwiach, w piekielnym zaduchu, przy czym ze względu na wygodę buty. Towarzyszyłem mu piętnaście minut, a kiedy konduktor sprawdził bilety, przeszedłem do in-



Dalszy ciąg na str. 8

PRZESTĘPCZOŚĆ

KONRAD TUROWSKI

NIESPODZIANKA



Na przystanku PKS w S. wysiadła tylko jedna pasażerka. Wracająca z pracy. Do domu miała jeszcze prawie trzy kilometry. Zwykle tym samym autobusem o godz. 22.40 przyjeżdżał sąsiad który też pracował w Łodzi na popołudniowej zmianie, tyle że w innej fabryce włókienniczej. Nie spełnił się brakiem towarzystwa, nie czuła lęku ruszając szybkim krokiem w ciemność grudniowej nocy. Szła krótszą drogą a właściwie miedziami, przez pola odległe od wiejskich zabudowań. Chciała być jak najprędzej w domu. Pogoda nie zachęcała do spaceru. Porywisty wiatr dokuczliwie zaczął pisać mokrego śniegu. W taką pogodę nawet psu nie chce się wytknąć nosa z budy - pomyślała 22-letnia Joanna E., nie słysząc normalnego ujadania wiejskich kundli. Szła pewnie, bo znała tu każdy kamień. Wyrosła przecież na tej ziemi. Gdy miała ożyminy K-skich do ojcowskiej zagrody było już tak blisko, że niemal wystarczyło rękę wyciągnąć by dosięgnąć furtki...

W tym momencie właśnie dogonił ją jakiś mężczyzna na rowerze. Ledwie się z nią zrównał zeskoczył z roweru rzucając go na ziemię. Nim zdążyła się odwrócić poczuła, że chwycił ją obiema rękami za szyję. Przypuszczała, że to głupi żart któregoś z kolegów. Zrozumiała swoją sytuację, gdy mężczyzna brutalnie przewrócił ją na rozmięktą ziemię. Ogarnął ją przeraźliwy strach, tak paraliżujący, że nie była zdolna do skutecznej obrony. Musiała ulec zwierzęcej przemocy. Później już nie reagowała, gdy ścignął jej z ręki zegarek i odchodząc zabierał czerwoną torebkę, która sobie kupiła z pierwszej wypłaty. Minęła dłuższą chwilę nim podźwignęła się i dowlókła do domu. Nie musiała nic mówić. Widok poszarpanego i zabłoconego ubrania był aż nadto wymowny. Ojciec wyskoczył z łóżka i tak w białiznie wybiegł na dwór.

Dalszy ciąg na str. 6

SPORT

BOGDA MADEJ

BEZ LITOŚCI DLA FAWORYTÓW

Było, minęło. Pozostają wspomnienia, statystyki, kroniki i od czasu do czasu będziemy przeżywać to jeszcze raz. XXI Igrzyska Olimpijskie w Montrealu. Igrzyska jakich nie było. Igrzyska bez litości dla faworytów. Przegrywali najlepsi, padali rekordy świata, a na podium dla zwycięzców stawali nikomu nie znani sportowcy. Igrzyska, w których silniej niż do tej pory nad sportową rywalizacją zawisł cień rywalizacji politycznej.

Było, minęło. Olimpiada, olimpiada i już po olimpiadzie. Ale teraz nadszedł czas na głębszą refleksję, na oceny, podsumowania. Nadszedł czas na spojrzenie wstecz, którym można ogarnąć nie tylko poszczególne dyscypliny, ale całość montrealskich wydarzeń.

Dalszy ciąg na str. 7



TELEWIZJA

MACIEJ ŁUKOWSKI ZACZEŁO SIĘ OD DZIECI

Film seryjny, cykliczny i odcinkowy (mimo pozornej tożsamości kryją się za tymi określeniami zupełnie różne konstrukcje filmowe) były przez wiele lat traktowane jako gorszy produkt telewizyjnego programu. Nie próbowano wnikać w ich złożoność czy badać artystyczne wartości. Serial po prostu był i sprawdzał się jako forma telewizyjnego przekazu rozrywki w odcinkach. Ten niedoceniany gatunek telewizyjnego programu przeszedł jednak w swej skuteczności rozważania najpóźniejszych optymistów. Żaden inny program nie zdołał stworzyć takich sensacji społecznych, ogólnonarodowych aplauzów jak „Cztery pancerni i pies”, „Stawka większa niż życie” czy ostatnio „Dyrektorzy”. Wydarzenia te są bez wątpienia niepowtarzalne, gdyż sięgając wstecz historia nie przypomina nam, aby w jednym wydarzeniu mogło uczestniczyć takie wielkie grono wielbicieli. Ostatnio i naukowcy nieco życzliwiej patrzą na filmy seryjne, to przecież one stworzyły formułę odcinkowego docierania ze skuteczną edukacją. Seryjny „Leonardo da Vinci” był przykładem optymalnego rozwiązania szerokiej formy społecznej oświaty. Telewizja polska nadała już wiele filmów seryjnych. Ich udział w programie, wywołanie społecznych reakcji warte jest przypomnienia.

1. Od dziecięcego odbiorcy zaczęła się w Polsce historia filmu seryjnego. Połec lat po oficjalnym uruchomieniu programu telewizyjnego w Polsce, siedem lat po pierwszym publicznym pokazie telewizyjnym (w czasie wystawy „Radio w służbie pokoju” XII. 1951 — II. 1952) 21 września 1959 roku polscy telewidzowie obejrzeli pierwszy odcinek pierwszego filmu seryjnego jakim był angielski obraz dla dzieci pt. „Płątka z wyspy skarbów”. Była to sensacyjno-przygodowa opowiadka o tym jak grupa dzieci poszukiwała skarbu ukrytego w murach zamku na wyspie. Konstrukcja serialu była nieco sztuczna, gdyż zrealizowany jako jedna całość film połączony odcinkami, opartym o czołówek i wstępem sumującym dotychczasowy tok akcji. Wobec braku filmów tworzących specjalnie

dla potrzeb telewizji zabiegi takie zastosowane przy tym filmie przez Anglików były wyjątkiem wystarczającym. Formuła ta charakteryzowała później filmy odcinkowe, które miały ciągłość akcji obejmującą wszystkie odcinki w odróżnieniu od zamkniętej anegdoty każdego odcinka w filmach seryjnych i cyklicznych. Ale do podziału tych filmów jeszcze wrócimy. Film „Płątka z wyspy skarbów” wzbudził olbrzymie zainteresowanie wśród młodocianej widowni. Lawina listów, która napłynęła do telewizji potwierdziła, że film seryjny jest czymś nowym i skutecznym w programie. Późniejsi badacze telewizyjnego programu stwierdzili, że analizując wypowiedzi telewidzów można pokusić się o tezę, że „Płątka z wyspy skarbów” i nadany niedługo potem film „Kradzione nie tuczy” stały się

wyznacznikami nowego gatunku filmowego. Potwierdzeniem owego zainteresowania było dwukrotne powtórzenie serialu w pierwotnym kształcie a następnie jeszcze w dwóch częściach na zakończenie w całości.

2. 22 maja 1960 w niedzielne przedpołudnie dzieci zobaczyły pierwszy odcinek „Disneylandu” zatytułowany „Opowieści o Mysze Miki”. Film przyciągnął popularność swych poprzedników a zainteresowanie towarzyszyło mu przez całe lata. Odcinki „Disneylandu” nadawano regularnie do roku 1965 a potem po dwuletniej przerwie ponownie, z tym, że już bardziej „od święta”. Gdy w 1965 podano do wiadomości, że seria się skończyła reakcja widzów była natychmiastowa. Prośby o powtórzenie a nawet propozycje przesłania pieniędzy, aby telewizja mogła kupić nowe odcinki tego wspaniałego filmu, nadchodzący z całej Polski. Prawie równolegle emitowano odcinki „Klubu Myszy Miki”, ale była ona zawsze w cieniu „Disneylandu”. „Disneyland” był pierwszym filmem rysunkowym trwającym dłużej niż 15 minut. Nawet „Klub Myszy Miki” był jedynie magazynem, w którym jedna opowieść rysunkowa nie trwała dłużej niż 1/3 odcinka w „Disneylandzie” natomiast obok ogromnej różnorodności form (łącznie z filmami przyrodniczymi) pojawiały się godzinne odcinki rysunkowe. Kariera obu Disneyowskich filmów budziła jednak pewne opory pedagogów. W roku 1962 na łamach „Odgłosów” ukazał się cykl artykułów, w których zastanawiano się czy „Klub Myszy Miki” proponuje właściwe wzorce zabaw, jakie powinno się upowszechniać wśród polskich dzieci. W stosunku do „Disneylandu” pedagogowie byli bardziej wyrozumiali, podkreślając nawet skuteczność wychowawczą filmów o przyrodzie. Wśród tych, którym nie odpowiadały wzorce „Klubu Myszy Miki” odpowiadali jednak ogólne ramy koncepcyjne magazynu i występowali z propozycją powołania takiego telewizyjnego klubu w Polsce. Pomysł nie został jednak zrealizowany.

3. W pierwszych latach funkcjonowania filmów seryjnych na ekranach polskiej telewizji licznie pojawiają się seriale młodzieżowe. Już nie jest to film

rysunkowy. Czerpie on pomysły z wzorów literackich. Pojawiają się bohaterzy typu „Zorro”, „Wilhelm Tell”, „Robin Hood” i „Sir Lancelot”. Był to początek lat sześćdziesiątych. Jako pierwszy z galerii legendarnych bohaterów pojawił się „Sir Lancelot” (film prod. angielskiej). Jego pierwsza emisja spotkała się z żywą reakcją młodzieżowej publiczności, natomiast gdy go po jedenasztu latach powtórzono (w 1971) reakcja ta była o wiele mniejsza. Jak silnie oddziaływały w tych latach seriale niech świadczą choćby prasowe notki o skutkach zabaw w Wilhelma Tella czy bohaterów „Złamanej Strzały”. Wszyscy także pamiętamy specyficzną dekorację plottów z okresu premierowej emisji „Złaku Zorro”. Filmy te to już typowe produkty przeznaczone do seryjnej emisji. Zazwyczaj („Zorro”, „Wilhelm Tell”, „Przygody Robin Hooda”) są to filmy, w których każdy odcinek stanowi samodzielną całość, jedynym elementem łączącym poszczególne filmy jest postać głównego bohatera. To te właśnie filmy noszą specjalistyczną nazwę — seryjnych. Nie ma tu większej zależności między fabułą odcinka poprzedniego i następnego. Każdy z nich to zamknięta opowiadka, w której z pewnością zwycięży główny bohater.

Trzecim typem filmów (obok omówionych wcześniej odcinkowych i powyższych seryjnych), są filmy cykliczne, które powstały trochę na fal telewizyjnej serlimanii. Gdy nie było autentycznego materiału na film seryjny tworzono cykle układające pojedyncze opowieści filmowe w cykl, które łączył wybrany problem np. „Dzień Pokoju”, „Dzieci z naszej szkoły” itd. Formuła ta jest sporadycznie stosowana i traktowana nieco jako materiał uzupełniający. Najczęściej powstają w tym okresie filmy seryjne, stosunkowo najprostsze w produkcji. Podobnie jak masowość emisji filmów seryjnych tak i masowość produkcji były typowe elementami, które doprowadzały do szybkiego rozwoju tych form. Realizacja jednego półgodzinnego odcinka, który musi być w zgodzie z innymi jedynie przez udział tego samego głównego bohatera, to zabieg bardzo prosty. O wiele prostszy aniżeli realizacja skomplikowanej wieloczęściowej opowieści, która stanowi jedną fabularną całość.

MARGINES

RYSZARD BINKOWSKI TLENIARZ

Z podmiejskiego tramwaju wysiadł młody chłopak o długich, kręjących się jasnych włosach i zapadłej, umęczonej twarzy. Ubrany był w zielony płaszcz, ciemna koszula w drobny wzorek, szare spodnie w granatowe paski i ciemnowisniewe półbuty. Był chudy, miał ponad sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, patrzył lekko głodnym, rozbieganymi oczyma, jakby szukał ratunku. Mógł mieć najwyżej dwadzieścia dwa lata, w ręku trzymał wypchana torbę.

Zbliżył się do idącej ulicą starszej kobiety.

— Proszę pani — spytał drżącym głosem — gdzie jest najbliższy szpital?

Kobietę spojrzawszy w jego pobladła twarz, pośpiesznie wskazała najbliższy położony oddział szpitala miejskiego.

Mężczyzna wszedł do dyżurki.

— Siostra — jęknął — potrzebuje pomocy. Strasznie mnie boli brzuch.

Siostra zakrzętała się i podała mu lek w płynie.

Wypił chciwie i patrząc jak zahnipotyowany na buteleczkę szepnął z prośbą:

— Czy siostra mogłaby mi trochę odstąpić?

— Nie, przecież to narkotyki! Wyszedł bez podziękowania, zdenerwowany i zawiedziony.

Na ulicy poinformowano go, że główny oddział szpitala znajduje się przy Szpitalnej.

Mężczyzna udał się w ustronne, odległe od ulicy miejsce i zatrzymał się przy szpitalnym ogrodzeniu. Zdał zielony płaszcz, zwinął go w rolkę, schylił się, otworzył torbę i wyjął z niej biały fartuch. Płaszcz wsunął do torby i wrzucił w krzak rososną na terenie szpitala. Włożył fartuch, zapalił zuki od przodu, podszedł do szeroko otwartej bramy szpitalnej. Spojrzał w stronę okienka, za którym widać było pochyloną, piszącą coś w zeszytce portierkę.

Nie zauważony przez nikogo wszedł na teren szpitala. Następnie udał się na meki oddział wewnętrzny. Odkręcając i zakrecając zawory sprawdzał zawartość flenu w butlach. Zatrudnionych przy tej robocie nazywają w szpitalu tleniarzami.

albo od zapalenia wyrostka robaczkowego, albo wskutek krwawienia w przewodach pokarmowych.

— To pani da mi te krople? — spytał z nadzieją.

— Pójdzie pan do laboratorium. Trzeba zrobić morfologię i leukocytozę, zaraz zadzwonię do koleżanki. Jak się pan nazywa?

— Stanisław Lisowski.

— Dobrze, może pan iść.

Mężczyzna podziękował i wyszedł.

Ale zamiast do laboratorium, udał się do automatu i zaczął telefonować, obserwując drzwi gabinetu lekarskiego.

Zaraz potem panią doktor wezwano, ponieważ pogotowie przywoziło ciężko chorego pacjenta, a następnie była osiemnasta dwadzieścia, lekarka poszła na obchód.

Weszła doktor Maria.

Pielęgniarka odłożyła słuchawkę i wychodziła, powiedziała:

— No, najgorzej minęło, będzie pani mogła trochę odpocząć.

— Tak, chyba nawet więcej telewizor.

Pochyliła się, aby sięgnąć po „przełuszczy” i wówczas zobaczyła na podłodze pod parawanikiem rozbitą szklę. Odsunęła białą zasławkę. Apteczka z lekami narkotycznymi była rozbita. Zginęło osiemnastu ampulek morfiny i buteleczka tinktury, czyli roztworu opium.

Zaczęto szukać tleniarza, bo tylko on jeden spoza personelu medycznego wchodził do gabinetu.

Ale człowiek z wybitym zębem o nazwisku Lisowski nie figurował na liście zatrudnionych.

Niki go również nie widział na terenie szpitala.

4. Minęło kilkanaście dni.

W jednym z łódzkich szpitali dwudziestoletni chłopak, będący w stanie skrajnego wyczerpania fizycznego i głębokiej depresji, złożył pisemne świadectwo, w którym wyznał, iż to on dopuścił się kradzieży narkotyków i że uczynił to wcześniej jeszcze w czterech innych szpitalach.

Chłopak miał wybity przedni ząb i nazywał się Jacek Stanisław W. W kragach narkomanów nazywano go „Asik”.

Pochodził z tak zwanej dobrej, inteligentnej rodziny, ale począwszy od pierwszej klasy szkoły średniej, zaczął wchodzić po lokalach. Często przesiadywał w „Centrału” i „Akademickiej”, gdzie trafiał na „Beniamina”, ojca duchowego łódzkiego narkomanów, który wciągnął w „życie” i wpędził w nałóg. Świat stał się smutny, bezbarwny, a nauka kompletnym bezsensu, przeto „Asik” rzucił szkołę i w narkotykach zaczął szukać lepszego, kolorowego świata.

W siedemnaście roku życia trafił do hufca pracy. Potem zatrudnił się przy produkcji elementów budowlanych, a następnie jako sanitariusz, jednakże za falszowanie recept został zwolniony. Ostatnio zatrudniony był w „Dywanianie”.

Narkotyki zaczął używać od czterech lat, w 1972 roku doborownie poszedł na odwyk. Później wrócił do nałogu, ale w więzieniu poczuł się zdrowiej. Siedział za falszowanie recept.

Utrzymywał kontakty z narkomanami w całej Polsce. Kiedy leków zabrakło, udawał chorego, szedł do szpitala i kradł nalewek opiumową, albo też wykorzystywał „zaufanie do białego fartucha”. Przebrał się i wyłudził narkotyki. Zauważł również morfina od swego weterynarza.

W krytycznym dniu kumel nawalił i dostawał morfina i doloranu. „Asik” przyjechał na przyjazd do Fabianiec i w przedstawiony wyżej sposób wkradł się do szpitala.

Najpierw wszedł do gabinetu lekarskiego, aby sprawdzić, czy znajdują się tam leki. I wtedy zastała go doktor Maria. „Głodny” był nadal, bo wziął opium doustnie, a on musiał dożyć.

Udał się do telefonu, wyciekł chwilkę, kiedy lekarka opuściła pokój. Wszedł za parawan i nie znajdując odpowiednio lekuczkę, rozbił łokciem szkiełko. Zabrał tylko te narkotyki, które nie były konieczne w nagłych wypadkach. Następnie udał się w krzak, gdzie leżała torba, przebrał się i nie zadowolony przez nikogo, opuścił szpital.

Wiedział w tramwaju i przyjechał do Łodzi. Przejrzawszy listki, wystrykiwał sobie leki. Całkowicie wyczerpany zgłosił się do szpitala.

Rozpoznano go po tym przednim, brakującym w górnej szczęce zębem. Złamał ząb, gdy zaskakiwał rękami na rece przed wstrzykiwaniem narkotyku.

TELEWIZJA

W CO SIĘ UBRAĆ?

Niedawno Maryla Rodowicz skarzyła się na łamach „Kultury”, w rozmowie ze Sławomirą Wyszynską, że musi nieestetycznie dużo wydawać na stroje, w których występuje na estradzie. Razem pewnego prosiła nawet TVP o pomoc, kiedy miała wystąpić przed kamerami telewizyjnymi, ale dyrekcja naszej telewizji odpowiedziała, że koncert jest już i tak drogi, więc nie ma go co podrażać.

W każdym programie telewizyjnym, ukazują się nazwiska dobranej grona osób, które program ten popieły i powinny nosić za niego odpowiedzialność. Wśród tych pań i panów są też scenografowie. Na „prosty” chłopięci rozum” mogłoby się wydawać, że taki pan lub pani, projektując to, co się na ekranie brzydło nazywa „wystrojem wnętrza” studia czy estrady, pomyśli również o tym, jak ubrać ludzi, którzy w tym studio czy na estradzie wystąpią. Ze skargi złożonej publicznie przez wielce sympatyczną Marylę Rodowicz wynika niedowzuszczanie, że tak wcale nie jest.

„Dobry wieczór! Tu Łódź” — zapowiedziała sympatyczna spikerka, a program ten nazywał się „Letnie nastroje” i firmował go Ryszard Czubaczewski i Włodzimierz Gawronski. Natomiast odpowiedzialność za scenografię ponosił Dobrecki. W trakcie tego programu Jaga Paduch zastanawiała się w piosence, w czym jej też do twarzy? Znakomicie — pomyślałem sobie — jest okazja, aby popatrzeć. Jak się też ubierają nasi piosenkarze, tak tłumnie zgromadzeni przez łódzki zespół TVP? Wiem dobrze, że o gustach nie należy dyskutować i jak kto się ubiera, to jest jego prywatna sprawa. Alisi występy w telewizji nie są niczym prywatną sprawą, a tylko publiczną i po to jest reżyser, aby odpowiadał nie tylko za to, kto, kiedy i jak wchodzi, jak się na scenie porusza, ale też i za to, czy dany artysta nie pasuje przypadkiem do całości, jak przystoiowa pieśń do nosa. Ale wszystko wydaje się wskazywać na to, że w naszej telewizji, a przynajmniej w naszej rozrywce telewizyjnej jest zupełnie „naczel”.

Mojm skromnym, oczywiście, zdaniem, dwóch muzyków z popularnego zespołu „Trubadury”, którzy wyróżniali się ortopedycznymi butami, ubranymi było zupełnie do innego programu. Jeden z nich nosił bowiem pantalon z fredekami oraz kowalicką, jaka dawniej panienki nosiły pod sukienką. Drugi natomiast cały był w brokatkach. Kilka pań — w tym Haina Żytkowa, Lucyna Owsińska i Jadwiga Strzelińska — wystąpiło w nocnych koszulkach, albo jak to się dawniej mówiło: w ugnieźlu. Jest to nawet atrakcyjny sposób ubierania się na estradę, jeśli bowiem widz nie zainteresuje piosenki, to może sobie postudiować szczegóły anatomiczne piosenkarci.

Bardzo gustownie natomiast wystąpiły „Alibabki” i byłbym nawet skłonny podejrzewać, że ten i ów z widzów mógł wziąć je za modelki reklamujące w czasie programu odzież jednego z zakładów przemysłu lekkiego. Ale nie, Modelki i modele to byli ci, którzy sztywno i bez wzięcia poruszał się po scenie, jakby tu przypadkiem trafili z ulicy i tak było rzeczywicie. Natomiast Jerzy Polomski — jak zawsze — wyróżniał się znakomicie skrojonym garniturem. Ciekawe też w kogo on się ubiera?

Solista zespołu „Dwa plus jeden” przebrała się za bohaterkę obyczajowego filmu włosko-francuskiego, którego akcja dzieje się gdzieś pod koniec XVIII wieku. Był to więc też kostium z zupełnie innego programu.

W kilkadziesiąt minut później, tego samego dnia, TVP nadała rozrywkowy program telewizji czeskosłowackiej, w którym między innymi wystąpił znakomity Karel Gott. I wtedy właśnie przyszła mi do głowy myśl, że dobry program można zrobić bardzo prosto, a artysta nie musi epatować widzów strojem. I że można to wspaniale pokazać, mając tylko świadomość tego, do czego służy kamera telewizyjna. Oczywiście, warszawskiego zespołu TVP, który krótko po łódzkim programie pokazał czeskosłowacki, nie posiadamy o stosunek wobec audycji „Dobry wieczór! Tu Łódź”.

INFORMACJE

TRZY CZWARTE „TREWOWATEJ” ZREALIZOWANO

Doblego końca rozpoczęte przez kilku tygodniami zdjęcia plenerowe do filmu „Trewowata”, których scenariusz stanowił pałac w Łańcucie. Zdjęcia te stanowiąc będą trzy czwarte metrażu filmu. W najbliższym czasie ekipa realizacyjna kierowana przez reżysera Jerzego Hoffmana rozpocznie kręcenie pozostałych scen w atelier w Warszawie.

JUBILEUSZOWY PROGRAM FOGGA ZA OCEANEM

Mieczysław Fogg wyjeżdża ze swoim jubileuszowym programem do Stanów Zjednoczonych i Kanady. W gościnnych występach, które odbędą się w dniach od 30 września do 1 listopada br. towarzyszyć będą jubilatowi: zespół „Baby Jagi”, piosenkarci Ewa Ułasńska i Lucyna Arska oraz Karol Stępkowski i Wiktor Smigielski.

PELNOTMETRAŻOWY FILM „SE-MA-FORA”

W Studio Małych Form Filmowych „Se-ma-for” w Łodzi zespół reżyserów pod kierunkiem Tadeusza Wilkosa kończy prace nad montażem i udźwiękowieniem pełnometrażowego filmu lalkowego pt. „Colargoł na Dzikim Zachodzie”. Film, którego głównym bohaterem jest znany z telewizyjnego ekranu Miś Colargoł, wejdzie na ekrany kin z początkiem

KONKURS DLA TURYSTÓW

CRZZ oraz PTTK organizują w tym roku już po raz trzeci ogólnopolski konkurs przełozczy „Diakraj — 76” dla fotografujących turystów. Do konkursu przyjmowane będą zestawy kolorowych diapozytywów ukazujące środowiska przyrodnicze i kulturę materialną wykonane w kraju lub za granicą.

MUZEUM ŚWIATA

Jesienią przyszłego roku oddana zostanie do użytku w Osace na terenie wystawy „Expo — 70” gmach muzeum etnografii narodów świata. Z zagranicy napłynęło już 40 tysięcy eksponatów. Na pytania zwiedzających będzie odpowiadał komputer.

„POWSTANIE WARSZAWSKIE” PO WĘGIERSKI

Z dużym zainteresowaniem przyjęty został przez czytelników węgierskich przekład „Powstania warszawskiego” Lesława Bartelskiego. Książkę, która przetłumaczył na węgierski dr Daniel Pfeifer, poprzedziła przedmowa Katalin Szokolaj. Pozycja ta wydana przez wydawnictwo „Kos-suth” w Budapescie szybko zniknęła z półek księgarskich.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WISŁAW JAJDZYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WIL MANSKI (sekretarz redakcji). Stałe współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEK, WITOLD ŚLAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JAN USZ SZYMAŃSKI-GLANC

Z profesorem ANDRZEJEM FELIKSEM GRABSKIM rozmawia
Lucjusz Włodkowski.

Niedawno, nakładem PWN w cyklu „Dzieje polskiej myśli historycznej”, ukazała się książka Andrzeja F. Grabskiego pt. „MYŚL HISTORYCZNA POLSKIEGO OŚWIECENIA”. — Jest to — pytamy autora — zapewne pierwszy tom cyklu?

— Istotnie. Na całość złoży się kilka tomów.

— Jakich okresów będą one dotyczyły?

— Noszę się z zamiarem napisania następnego tomu, który dotyczyłby Romantyzmu. Później powinny powstać kolejne tomy, w których omówiłbym dzieje myśli historycznej w okresie Pozytywizmu, Modernizmu i początków XX wieku. Czy uda mi się doprowadzić ten cykl do czasów powstania PRL, tego w tej chwili jeszcze nie wiem.

— A czasy wcześniejsze?

— Opisane dzieje myśli historycznej w Średniowieczu, w czasach Renesansu i Baroku odłożyłem na czas późniejszy.

— Dlaczego?

— Przede wszystkim dlatego, że czasy nowożytne wydają mi się okresem ważniejszym. W tych czasach dokonywały się w naszym kraju procesy historyczne, które wywarły wpływ na naszą teraźniejszość, zaważyły w sposób decydujący na naszej tradycji.

— Dlaczego jednak Oświecenie? Przecież teraz coraz częściej sięga się do okresu Romantyzmu, jako okresu, w którym kształtował się nowoczesny naród polski, w którym kształtowała się świadomość narodowa.

— Nie chciałbym się wdawać w spór o to, czy początek walki o poczucie narodowe miał miejsce już w Oświeceniu, czy dopiero w Romantyzmie. W moim przekonaniu — daję temu wyraz w książce — zarówno jeden, jak i drugi okres miał tu swój wkład. Można to ująć krótko: gdyby nie dokonał się przewrót umysłowy w okresie Oświecenia, to nie byłoby ruchów wolnościowych w XIX wieku.

— To jednak nie wyjaśnia do końca, dlaczego jako pierwsza powstała książka o myśli historycznej właśnie Oświecenia.

— Z kilku powodów. Może zacząć od tego najważniejszego. A mianowicie od tego, że rozwój myśli historycznej rozumiem jako miernicę ziołony i wiewątkowy proces, w którym realizuje się dialektyczna jedność przewartościowań i kontynuacji, zmian i tradycji.

Jak już powiedziałem, ona nas — dla naszej współczesności — nie zwykłe ważne jest poznanie procesu kształtowania się myśli historycznej w czasach nowożytnych. Ale, żeby poznać ten proces, trzeba dokonywać jego analizy w możliwie dużym odcinku czasu, najlepiej w całych formacjach kulturowych. Jeśli więc zakładam sobie, że chcę ten proces prześledzić w okresie Oświecenia, Romantyzmu, Pozytywizmu i Modernizmu, to logiczne, że trzeba było zacząć od Oświecenia.

— Tak, ale powodów miało być więcej.

— Drugim powodem było to, że Oświecenie było w dziejach naszego narodu wielkim skokiem. Dziś patrzymy na polskie Oświecenie w sposób mniej uproszczony niż przed kilkunastoma laty. Potrafimy zrozumieć złożoność tej epoki, jej znaczenie dla naszej narodowej tradycji. Chciałbym tu zacytować opinię Karola Marksa wprawdzie o Konstytucji 3 Maja, ale opinię tę można odnieść do całego Oświecenia. Cytat pochodzi z książki Karola Marksa: „Przyczynki do historii kwestii polskiej. Rękopisy z lat 1863—1864”. A cytat ten brzmi następująco:

„Przy wszystkich swych brakach Konstytucja ta widnieje na tle rosyjsko-prusko-austriackiej barbarii jako jedne dzieło wolnościowe, jakie kiedykolwiek Europa wschodnia samodzielnie stworzyła. I wyszła ona wyłącznie z klasy uprzywilejowanej, ze szlachty. Historia świata nie zna żadnego innego przykładu podobnej szlachetności szlachty. Konstytucja ta wystarczająco głęboko godziła w przywileje arystokracji, aby popełnić ją do otwartej zdrady Polski na rzecz Rosji...”

Spisowymi złościami wyryto na tablicach historii świata prawo, że żadna rewolucja nie może zwycię-

żyć, jeśli dokonuje się w obrębie granic dogodnych klasie panującej. Jednakże Polska mogłaby się rozwinąć dalej na tej podstawie (tzn. na podstawie Konstytucji 3 Maja — uwaga A. F. Grabskiego), gdyby Rosja nie miała oparcia w buncie arystokracji polskiej, odstępstwie faworyta Katarzyny Stanisława Poniatowskiego, wycofaniu się Anglii i podłości Prus...”

Co takiego dokonało się w epoce Oświecenia, że szlachta mogła stworzyć dzieło tak wysoko ocenione później przez Karola Marksa? Dokonał się przede wszystkim rozrachunek z przeszłością.

— Każda epoka dokonuje rozrachunku z przeszłością.

— A tak. Ale w jaki sposób? W oparciu o jakie motywy? Węgierski filozof marksistowski György Lukács zwrócił na przykład uwagę, że epoka wojen napoleońskich uświadomiła ludziom uczestnictwo w tworzeniu historii. Człowiek tamtych czasów przestał już być obserwatorem historii tworzonej przez królewskie dwory, rodziny panujących, arystokrację, szlachtę, sam stał się twórcą historii i posiadł świadomość tego faktu. Coś podobnego stało się i u nas w okresie Oświecenia.

— Chociaż może w innej skali.

typowe. Pokazywało, że w wielkiej mierze przyszłość narodu zależy od niego samego. I to właśnie, ale w innych kategoriach, podjął Romantyzm. W innym sposobie rozumowania. Romantyzm zaprzeczał niektórym poglądom Oświecenia. Ale to jest też kontynuacja. Rozumując dialektycznie, coś co jest zaprzeczeniem jest jednocześnie kontynuacją, chociażby przez negację. Romantyzm stanowił nowe stadium myśli historycznej, nowe stadium świadomości narodowej.

W XIX wieku stosunek Polaków do przeszłości miał już inne znaczenie. Trzeba przecież pamiętać, że w tym czasie nie było państwa polskiego, że Polacy żyli pod zaborem i aby przetrwać, aby zachować swoje więzi narodowe, utrwalali je i zachować jednemu narodowi musieli skierować zainteresowania ku przeszłości.

— We wstępie do książki, o której rozmawiamy, wspominam popularnego niegdyś duńskiego historyka literatury i eseisty, Georga Brandesa, który był w Polsce w 1885 roku i wyniósł z tej podróży przeświadczenie, że Polacy żyją wśród wspomnień, że nigdzie nie udało mu się spotkać takiej, jak to określił, „relii pamiątek, takiej bogatej skarbnicy wspomnień”. Było to niewątpliwie trafne spostrzeżenie, gdyż istotnie dla Polaków żyjących pod obcym uciskiem przeszłość stanowiła szczególnie cenną wartość.

— Jesteśmy dumni, ale to — ta przeszłość — nie uczestniczy w kształtowaniu teraźniejszości, nie ma z nią żadnego związku. Takie myślenie, chociaż żywo interesujące się historią, jest myśleniem ahistorycznym.

— Jestem absolutnie przekonany, że nie można budować nowego świata bez oglądania się w przeszłość, gdyż teraźniejszość nie tworzy się poza czasem, poza tradycją i historią. W każdej epoce rodzi się pytanie o przyczyny aktualnego położenia narodu. Jest to pytanie zarazem polityczne i historyczne. I w każdej epoce inaczej na to pytanie odpowiadano, ale żadna epoka nie mogła uchylić się od odpowiedzi. Myśliciele Oświecenia w przeszłości szukali przyczyn wzrostu i upadku państwa. Krytyczna analiza przeszłości stawała się dla nich podstawą nowej koncepcji narodu. Myśliciele Romantyzmu w dziejach narodu szukali ogólnego sensu i celu historii. W tym czasie za uświadomionego Polaka uważano tego, kto nie godził się z utratą państwa, niezależnie od tego w jaki sposób chciałby je odzyskać.

— Obiektywne warunki polskiego życia w XVII i XIX wieku zdecydowały o społecznej aktywności historyków. Zdecydowały o tym, że miłość przeszłości stała się trwałym atrybutem patriotyzmu, a refleksja historyczna weszła na stałe do polskiej myśli społecznej i politycznej, ogarnęła wszystkie rodzaje twórczości. I to w jakimś stopniu trwa po dziś dzień. U nas na przykład nie do pomyślenia jest sposób, w jaki piszą i wyrażają się o przeszłości choćby Francuzi.

— Szacunek do przeszłości jest niewątpliwie trwałym dorobkiem naszego sposobu myślenia, naszej świadomości społecznej. Ale — powtarzam — to nie jest równoznaczne z historycznym myśleniem. Dla mnie historyczne myślenie to takie, w którym przeszłość, teraźniejszość i przyszłość splatają się w jedną całość, z siebie wynikają i siebie wzajemnie warunkują.

— Kiedy przystępowałem do pracy nad książką „Myśl historyczna polskiego Oświecenia”, szukałem między innymi odpowiedzi na kilka pytań. Interesowało mnie, jak w czasach Oświecenia odpowiadało na pytanie: czy świadomość przeszłości, jej wpływ ciągnie wstecz, czy pomaga iść do przodu? Jakiej wagi przeszłości stanowiły czynnik hamujący dla Oświecenia, a jakie aktywizowały tamtejszą teraźniejszość? Jaka jest rola myślenia historycznego w epoce wielkiego skoku, bo — jak już powiedziałem — Oświecenie było wielkim skokiem.

Myśliciele Oświecenia dążyli świadomie do przemian. Chcieli dokonać takich zmian, które mogły uratować zagrożony byt państwa i narodu. Działając świadomie musieli krytycznie ocenić przeszłość, musieli swoją świadomość wzbogacić o tę tradycję, na jakiej chcieli się oprzeć.

Potrąfimy dziś również krytycznie ocenić tamten okres naszych dziejów. Wiemy, gdzie tkwiły błędy i słabości. Jakie było źródło klęski. Ale analiza dziejów myśli historycznej Oświecenia pozwala też na głębszą refleksję natury ogólniejszej. Ilustruje ją doskonale.

Jeżeli człowiek tworzy coś świadomie, jeśli wykorzystuje do tego świadomość społeczną, to w tej świadomości musi być też historia. Ona się bowiem składa na świadomość społeczną. Wszędzie przecież tam, gdzie spotykamy się z ludzkim świadomym działaniem, powinniśmy się spodziewać obrachunku z tym, co dotąd było, z jakąś historią, z jakimś zespołem wyobrażeń o przeszłości.

— Ale idźmy dalej. Jeżeli historia jest obecna w świadomym działaniu, jeżeli je po jakiejś części warunkuje, to musi powstać przekonanie o zmienności, przemijaniu. Historyczne podejście do rzeczywistości, to właśnie widzenie zmienności. Jeżeli coś jest, to coś musiało być przedtem, ale i coś musi być potem. Jeżeli coś jest, to znaczy, że minie, że przyjdzie coś nowego. Chodzi tylko o to, aby człowiek zdawał sobie sprawę z tego, co było, aby umiał to ocenić, rozumieć na jakich tradycjach się opiera i umiał też w oparciu o te tradycje kształtować przyszłość.

— I to jest właśnie historyczne myślenie.

— Świadomość historii powinna polegać na aktywności historycznych treści we wszystkich światopoglądach, ideologiach i teoriach społecznych, w procesach samookreślenia się ludzkich zbiorowości.

— Można powiedzieć, że myślenie historyczne jest koniecznym warunkiem rozwoju.

— Bez wątpienia.

— Z dużym zainteresowaniem będziemy czekać na dalsze tomy z „Dziejów polskiej myśli historycznej”.

— To potrwa jeszcze sporo czasu.

NOWE KIERUNKI

Niedawno pisząc na tym miejscu o tzw. „nowej historii” zwracałem uwagę, że współczesna nauka historyczna zmienia się, jak w kalejdoskopie, ogarniająca swymi badaniami zagadnienia, o których niedawno trudno było myśleć w kategoriach historii, sięgając po nowoczesne techniki i metody badawcze. Dzieje się tak w różnych krajach, na Zachodzie i Wschodzie, przemiany są niezmiernie intensywne i wielokierunkowe. Nie więc dziwnego, że historycy historiografii starają się śledzić je na bieżąco i nowe kierunki współczesnej nauki historycznej są dziś przedmiotem wnikliwej obserwacji badawczej. Otrzymałem właśnie nową książkę wybitnego historyka amerykańskiego Georga G. Iggersa, poświęconą tym zagadnieniom, a zatytułowaną: „Nowe kierunki w historiografii europejskiej” (New Directions in European Historiography), opublikowaną pod koniec zeszłego roku przez wydawnictwo Wesleyan University Press. Autor znany dotąd jako badacz saintsimonizmu oraz wnikliwy historyk dziejopisarstwa niemieckiego, któremu poświęcił znakomitą książkę, zwrócił tym razem moją uwagę na walkę starego z nowym w dziejopisarstwie współczesnym. Wychodząc od analizy kryzysu tradycyjnej koncepcji nauki historycznej w XX wieku przedstawił analizę tych tendencji, które świadczą o jego przewyżczeniu. W historiografii współczesnej wyróżnił trzy modele — typy, mianowicie — w jego terminologii — „nomologiczny”, „hermeneutyczny” i „dialektyczny”, a następnie starał się prześledzić, jakie nowe propozycje formułuje nauka historyczna w ramach każdego z nich.

Jest zupełnie zrozumiałe, że na pierwszy ogień wziął G. G. Iggers historiografię francuską: słynna dziś w całym świecie, a z nami bardzo zaprzyjaźniona współczesna francuska szkoła „Annales” jest niewątpliwie jednym z najbardziej interesujących, nowoczesnych i przynajmniej kierunków historiografii europejskiej, pomimo pewnego skłębienia teoretycznego, który się w niej zaznacza. Kolejno przeszł do zagadnień już znacznie mniej znanych, mianowicie do przewyżczenia „hermeneutycznej” tradycji historiograficznej w dziejopisarstwie zachodniemieckim. Tutaj unowocześnienie nauki historycznej zaczęło się znacznie później niż gdzie indziej, a dla przełamania badawczego tradycjonalizmu istotne znaczenie miały spory, jakie rozgorzały wokół wydanej w 1961 r. książki Fritza Fischera „Griff nach der Weltmacht”, dzieła, którego autor podjął odważny rozrachunek z tradycyjnymi nacjonalistycznymi i konserwatywnymi poglądami na nowszą historię Niemiec. Wreszcie G. G. Iggers przeszedł do rozpatrzenia „dialektycznego” modelu dziejopisarstwa.

Ucznił to w rozdziale, zatytułowanym: „Marksizm i nowoczesna historia społeczna”, liczącym ponad 50 stron druku, a poświęconym nowym nurtom badawczym rozwijającym się na obszarze historiografii marksistowskiej. Trzeba tu podkreślić z naciskiem, że amerykański uczeń, w odróżnieniu od wielu zachodnich autorów, potraktował sprawę poważnie i uczynił wiele, aby możliwie dokładnie, pokonując trudne dlań bariery językowe, zapoznać się z aktualnymi badaniami, prowadzonymi przez marksistowskich historyków w różnych krajach. Nie uniknął pewnych uproszczeń, bowiem trudno mu było ogarnąć badaniami wszystkim; jest to jeszcze jeden przykład świadczący, jak trudno jest zapoznać się dokładnie z tym, co dzieje się we współczesnej nauce historycznej w różnych krajach, kiedy większość naukowej produkcji ukazuje się w nich w językach narodowych. G. G. Iggers nie dał wiary różnym pośrednikom i tendencyjnym najeździe „informatorem”, jakich wieaż wiele na Zachodzie i starał się poznać historiografię marksistowską z pierwszej ręki. Prócz dziejopisarstwa NRD, marksistowskich kierunków historiografii francuskiej i angielskiej, szczególnie wiele uwagi poświęcił współczesnej polskiej nauce historycznej. Podkreślił, że nauka polska ma bogate i żywe tradycje nowoczesnych badań w zakresie historii społecznej i gospodarczej, przypomniał nazwiska Jana Rutkowskiego i Franciszka Bujaka, zwrócił uwagę na międzynarodowe związki historiografii polskiej w czasach współczesnych. W najżywczych słowach przedstawił badawcze osiągnięcia naszych wybitnych uczonych: Jerzego Topolskiego, Witolda Kuli i Andrzeja Wyczańskiego w dziedzinie historii społecznej, zwracając uwagę na ich wkład do ogólnoeuropejskich dyskusji; podkreślił znaczenie propozycji badawczych, sformułowanych przez Polaków. Dostrzegł, że polska marksistowska nauka historyczna w płodny pod względem intelektualnym sposób potrafi łączyć badania empiryczne z refleksją teoretyczną. W swym aparacie krytycznym powołał się na liczne polskie prace, nie tylko ogłaszane w tzw. językach kongresowych, ale i po polsku, wreszcie zastrzegł się, że w swych rozważaniach dokonał koniecznego wyboru, dla bardziej wyrazitego przedstawienia problematyki.

Z pewnością warto byłoby, by G. G. Iggers jeszcze rozszerzył swój badawczy horyzont, by w większej mierze i bardziej wnikliwie zapoznał się z nowymi nurtami nauki historycznej w innych krajach socjalistycznych, gdzie również dzieje się wiele nowego. Przykład rozważań amerykańskiego uczonego o historiografii polskiej wskazuje, że ważne pod względem naukowym rezultaty, nie tylko zresztą w badaniach historiograficznych, osiąga się tylko wtedy, kiedy podejmuje się wysiłek poznania problematyki u źródła, z autopsji.

LEKTOR

WIĘCEJ NIŻ SZACUNEK DLA PRZESZŁOŚCI

— I w innych warunkach. W okresie Oświecenia mamy już przykłady aktywności mieszczaństwa. Zmienia się pojęcie Polaka. Nie jest nim już tylko szlachcic. Rozszerza się więc pojęcie narodu. Ba! To przecież w okresie Oświecenia Janek Jezewski zastanawiał się, czy miano narodu nie należy się tylko ludowi polskiemu.

To rozszerzenie pojęcia narodu miało swoje konsekwencje. Kiedy Polakiem był szlachcic, to miał on prawa wynikające z urodzenia i majątku. Kiedy Polakiem mógł już być i mieszczanin i chłop nawet, chociaż to nie było takie jeszcze proste, to wtedy na plan pierwszy wysuwały się obowiązki. Oświecenie wysuwało koncepcję narodu obywateli, a więc tych, którzy mają obowiązki względem ojczyzny, a więc preferowało i kształtowało postawy aktywne.

Oświecenie musiało więc dokonać obrachunku z historią, z przeszłością, ale był to obrachunek, który prowadził do zrozumienia historyczności swego czasu, do konfrontacji dziejów Polski z dziejami świata, obrachunek ten prowadził wreszcie do poznania błędów i sukcesów przeszłości. A więc kształtował zupełnie nowy sposób myślenia historycznego.

— W tym czasie były też tendencje do idealizowania przeszłości.

— Były w Oświeceniu, były później w Romantyzmie. Można je spotkać w Pozytywizmie i później aż po dzień dzisiejszy. Ale jeśli patrzeć na dzieje myśli historycznej w sposób dialektyczny, to Romantyzm też przejął wiele od Oświecenia. To przecież Oświecenie, pokazując indywidualność naszych dziejów, pokazywało jednocześnie, że są one

— Ta szczególna admiraacja przeszłości przetrwała aż do dziś. Wynikło to z tradycji. Jest to pozostałość sposobu myślenia ukształtowanego w przeszłości. Czy jednak istotnie jest to dowód historycznego myślenia Polaków?

— W świadomości społecznej nadal funkcjonuje szczególna wrażliwość na sposoby oceny przeszłości. Trzeba przecież pamiętać, że niemal wszystkie ważne spory polityczne i kontrowersje ideologiczne przybierały u nas postać sporów o historię.

— I odwrotnie. Spory historyczne przybierały postać sporów o teraźniejszość i przyszłość.

— Dlatego ciągle aktualny jest spór — chociaż może spór to zbyt mocne określenie — o miejsce historii w teraźniejszości. Różnie to się zresztą układało w różnych czasach, ale sam problem był nieustannie aktualny. Przecież nigdzie indziej tak długo i tak silnie nie funkcjonowało i nie funkcjonuje w społecznej świadomości malarstwo historyczne. To u nas był nurt literatury tworzonej „ku pokrzepieniu serc”. Bohaterzy wielu utworów literackich byli i są mocno osadzeni w historii. Nawet wiele sporów literackich miało charakter sporu o historię.

— Wydaje mi się jednak, że trzeba bardzo dokładnie rozróżnić dwie zupełnie różne sprawy: szacunek, admiraację historii, żywą pamięć o przeszłości i dumę z przeszłości narodu i historyczne myślenie. Nadmierzona admiraacja przeszłości — przynajmniej w moim przekonaniu — może prowadzić do zerwania ciągłości, do odsunięcia przeszłości na plan dalszy, do potraktowania historii jako akompaniatora teraźniejszości. Coś co jest, z czego

NOWE PRZEKŁADY

BERTOLT BRECHT

ZŁE CZASY DLA LIRYKI

Wiem przecież: tylko kto szczęśliwy
Jest pożądanym. Jego głosu
Słucha się z przyjemnością. Jego twarz jest piękna.

Karłowate drzewo na podwórku
Dowodzi kiepskiej gleby, ale
Przechodnie liżący jego kalectwo
Też mają rację.

Zielonych łodzi i wesolych żagli cieśnin
Nie widziałem. Z wszystkiego
Dostrzegłem tylko pękniętą sieć rybaków.
Dlaczego wciąż powtarzam
Ze czterdziestoletnia chałupniczka idzie przygarbiona?
Piersi dziewcząt
Są ciepłe jak dawniej.

Rym w mojej pieśni
Wydalby mi się niemal zuchwałstwem.

Kłóca się we mnie
Zachwyt nad kwitnącą jabłonią
I zgroza wzbudzona mowami malarza pokojowego.
Ale tylko to drugie
Wcisła mi się na biurko.

A CO DOSTAŁA
ŻOŁNIERSKA ŻONA?

A co dostała żołnierska żona
Ze starej stolicy, Pragi?
Z Pragi dostała pantofle zgrabne.
Słowa niezdarne, patofle zgrabne.
To dostała ze starej Pragi.

A co dostała żołnierska żona
z Warszawy, znad brzegów Wisty?
z Warszawy przyszła koszula iniana,
Harwnie utkana koszula iniana.
To dostała znad brzegów Wisty.

A co dostała żołnierska żona
z Oslo, które nad Sundem?
z Oslo dostała kołnierzy futrzany.
Na miarę brany kołnierzy futrzany.
To dostała z Oslo nad Sundem.

A co dostała żołnierska żona
z pysznego Rotterdamu?
Ma z Rotterdamu kapelusz modny,
Bardzo wygodny kapelusz modny.
To z Rotterdamu dostała.

A co dostała żołnierska żona
z Brukseli, co w Belgii leży?
z Belgii dostała koronkę zwiewną.
Kocha na pewno, koronka zwiewna.
To dostała z Brukseli.

A co dostała żołnierska żona
z osławionego Paryża?
z Paryża suknie jedwabną nosi.
Będą zazdrości takiej miłości.
To dostała z Paryża.

A co dostała żołnierska żona
z Piasków libijskiej pustyni?
z Libii dostała łańcuch miedziany.
Zaczarowany łańcuch miedziany.
To z Trypolisu dostała.

A co dostała żołnierska żona
z dalekich bezdroży Rosji?
z Rosji przysłano jej welon wdowi.
Stanie przy grobie w welonie wdowim.
To dostała z dalekiej Rosji.

JA, KTÓRY PRZEŻYŁEM

Oczywiście wiem: szczęściu zawdzięczam,
Ze przeżyłem tak wielu przyjaciół. Lecz nocy dzisiejszej
we śnie
Słyszałem tych przyjaciół mówiących: „Przeżywają silniejsi”
I doznałem spokoju.

Przełożył: Konrad Frejdlich

Roman nie tęsknił za bogactwem. Chciał tylko, żeby — tak mawiał — przybywało, a nie ubywało. Dlatego robota tak lato go gonila — od trzeciej, czwartej rano, aż po późny wieczór. Zimą inaczej — lżej, można wódkę z sąsiadem jedną, potem i drugą wypić. Pogadać o tym i owym, pomarzyć. Marzenia i kłopoty. Nie dziwota — sam był na pięciohektarowym gospodarstwie. Starzał się. Żona odeszła do Boga, że prawie nie zauważył kiedy. Zagoniony, zaharowany, widział kątem oka, jak mu kobieta świerknie. Co poradzić. Była w szpitalu nie raz i na sanatorium musiał się zgodzić. Aż trzy miesiące tam była! I jeszcze chcieli ją zostawić, nie wytrzymał. Pojechał, skłócił babę, doktorom też swoje powiedział — bo jak komu przeznaczono, to go nie minie. A robota nie czeka. Ręk do pracy nie za wiele. Nawet słaba, ale zawsze coś „żgnie-pchnie” i lżej. Dwoje dzieci — prawda, że już prawie dorosłe — ale co z tego! Józka, rychtyk tylko patrzeć, a do wojska wezmą. Bożena w szkołach. Dobrze się uczy, to prawda, ale czy jej to potrzebne? I tak za mąż pójdzie, dzieci narobią i oprzątać tylko będzie jak i każda. Z dziennego liceum przesunął ją do wieczorówki. Nauczyciele sarkali, że to źle, bo zdolna, na samych piątkach, wyjątkowo pilna. No, dobrze, ale co z robotą? Kto za nią zrobi: kto wydoi, kto kawę rano zagotuje, kurom posypie, świniom kartofli naszkrobi, zakupy w mieście porobi, w polu pomoże? Józek? Sam

skiem, liczyć się z nim trzeba. Jakby co do czego — no, gdyby ze Stachą się poženili — robić na nich nie będzie. I na tych „znojdków” ani mu się śni. Bo Stacha po mężu też ma dwóch nieponi. Jeden już w podstawówce, a drugi za krowami. Masz ci los. Roman gorzał gniewem na wspomnienie, doczekał się syna! Tak po prawdzie, co by bez Józka zrobił. Z robotą wdał się w ojca, trzeba mu to przyznać. I gdy jeszcze kobita oczu nie zamknęła, uradzili że Józef weźmie gospodarke, jak siły ojca opadną, a Bożenę splaci. Ojców przytuli na starość i będzie zgoda. Wszystko się pokreśliło od śmierci nieboszczki. Roman każdego następnego roku czuł się coraz to bezradniejszy.

— Legujesz se, legujesz! — powiedział na przywitanie. Stacha obróciła się w łóżku. Z rozchylonej koszuli wypłynęły blade, duże piersi. Na pierzynie leżała książka. Jeszcze nie wszystkie karty rozcięte. Dzieciaków w domu nie było, a może i spali już w sąsiednim pokoju. Czekala. Miała z nim do pogadania, bo tu o święta chodziło. Czy jakie wesele ma w głowie, czy też po bożemu razem święta spędzą. Wielkanoc już za trzy niedziele. Ale z takim to gadać! Zaplanuje coś, potem łeb zaproszy, zapomni. Albo i wyjedzie do rodziny miastowej. Stasia chciała mieć go nie tylko na noc. Pokazać się z nim, poświętować wśród ludzi. Bo już ich na języki brała. We wsi to nic nie skryte. Ludziska niby to pomęczone, ale jak te pucha-

zad. Niedoczekanie! To ja z tobą jak ze ślubnym, a ty odbierasz!

Kopnęła go w genitalia, splunęła i wyskoczyła z łóżka. Roman zawił z bólu, skurczył się i zwinięty pod pierzyną zaskomlał:

— Ty wściekle! To ja chciałem Józka ułagodzić, aby się nie narowił i pomagał. Tej swojej cosik podarował przed wojskiem, a ty masz wyrozumienie! Mózg ci do dupy już opadł!

Pochlipywał zakryty na głowę pierzyną. Kajał się, kłął i żebrał. Bał się, że oberwie jeszcze. Żeby tylko ubranie ucapić! Z taką, co po jajkach kopie, nic nie wiadomo. Trzeba sposobem.

— Stachna! — wyciągnął do niej ręce. W tym okrzyku było, tak mu się wydawało, całe jego oddanie, wierność i miłość po grób. Nie weszła jednak do łóżka. Biegała po pokoju, trzaskała szufladami. Wykrochmaloną koszulą zamiatała podłogę. W tym rozżaleniu i furii zapomniała włożyć pantofle. Duże jej stopy, zdobne na małych palcach nagniotkami, klaskały po czerwonej, pastowanej podłodze. Chwilami wykrzykiwała: „ty przeniewierco!”, albo „ja ci pokażę, rozpustniku!” i jeszcze inaczej. Roman wymknął się spod pościeli, zdołał włożyć spodnie i potrząsając w uniesionej ręce krawatem gonął za nią po łożbie, prosił o opamiętanie. Wreszcie dopadł, pchnął ją na łóżko i trzymając za ręce w nadgarstek tłumaczył:

— Pierścionek to był Balbiny, po ciotce nieboszczki. Jeszcze gdyś słu-

ZYGMUNT MARCZEWSKI

PIERŚCIONEK

Józek nie da rady. Poza tym leń, o dziwkach tylko myśli, na ojca ręce patrzy, lagą trzeba go często z wyrazem zganiania! To jeszcze się stawia, pyskuje, odgraża! Takie to teraz dzieci. Tylko ubrać się, dobrze nażyć i do miasta! Albo skaranie Boże z tymi książkami, w nocy ślezczyć, światło po próżnicy palić. Ojciec na nie nie ma czasu. Nawet na kobity. Czasami jak z towarem do Łodzi okazją pojedzie — konia zmęczyć już się nie oplaci — jak sprzeda szybko, bo hurtowników na rynku zna, to i skoczy gdzieś. Ale co tam, to nie kochanie: liźnię-pyżnię, zapłaci i wynocha — licznik bije. Nie było to jak ze starą, nieboszczką. Teraz byłaby najlepsza. Zgubiła miesiaczkę, bo już lata przyszły, a kochanie — chociaż chora — zawsze lubiła. Mówili, że każdy gruzlik lubi. Bogać tam! Ona i przed gruźlicą, jeszcze nim się za niego wydała, też lubiła. I to bardzo! Każda okazja była dobra. Nocą wozem jechali do miasta z towarem — można. Marchew, pietruszka, czy koper wiazali pod stodołą nad wieczorem — też można. Zawsze wilgotna, ochotna, słowem — dobra była. Skrobanek to już nie zliczyć, tyle miała. Jak dzieciśka, Józef z Bożeną podrasłali, to chciał jeszcze trzeci mieć. Nie dało rady, doktory mówili, że po próżnicy się stara. Za wiele było skrobanek, macica nie zdołała. Ano, to i trudno. Mizerna, psia-krew, zawsze to takie chude, kwękające, niezdarne. Tylko w łóżku zgnie-
leżało.

Roman splunął na wspomnienie i przyświecił latarką. To przecież tu. Zamyślił się i przeszedłby za daleko. Tu mieszka Stasia. Ze też ją za żonę od młodości nie miał — to rzepta! Od swego wdowieństwa zachodził do niej na nocki. Bo i przedtem na Stasię świdrował oczami. Dobra była w polu, to i w mieszkaniu w łóżku nie gorza — to się liczy. Jeszcze jej stary żył, to Roman leżąc przy swojej kobiecie często o Stasi myślał, że młodszą, tłuściejszą... Ochota go wtedy nachodziła taka, że przygarniał ślubną jakby po raz pierwszy. Ale miał ciągiem Stasię przed oczami. Teraz już inaczej, jest z nią ile zechce. Tylko co to za życie, zawsze baba nie swoja. O własnym gruncie myśli. Ma te sześć morgów — dobre i sześć... Zrobił w pamięci szybki rachunek, ile to przyniesie w kupie i co by on posiał. Tak, marnuje się ziemia, obrobić nie ma kto. Staska, wdowa, najmuje ludzi. Ona na swojej ziemi, a on na swojej. Każdy garnie do siebie, bo i jakże teraz inaczej. Trzeba jakoś zaradzić. Ale jak? Józef chłop przed woj-

cze oczyskami w nocy świecą. Onego roku, latoś to było, to niby pod tumskim klasztorem mieli ich zoczyć. Ludziska we wsi podte, zawistne o wdo-wie szczęście. Cóż robić? Z oczu im nie zejda. Bo i dokąd? Tu gospodarki obie, dorobek z wielu wyrzeczeń, no i ziemia jakiej nigdzie nie znajdziesz. Mieć by już ten sakrament, ludziom pyski przymknąć. A Roman namyślał się, waha, odwleka i czeka pewnikiem aż go dzieci wyprzedzą.

— A leguję po prawdzie, bo i co? — Pod pościelą poruszyła gniewnie ciałem, ale i trochę pokusnie tak, ażeby Romanowi przypomnieć, że pod pierzyną oczekuje gorętszego okrycia. — A połówkę masz? — spytał z grzeczności i nie czekając odpowiedzi wyciągnął z kredensu musztardówki. Zdjął kapsel z napoczętej półlitrowki, nalał do szklanki.

— No, łynij Staska, może ci doleję, jak się posuniesz. Przegryź cebulą i uśmiechną się w oczekiwaniu.

— Musimy się zebrać w kupę, bo tak dalej na nic.

Przytaknęła, przechyliła i wypila ze szklanki połowę zawartości. Potem podparła głowę ręką. Poduszka płuśna pod łokciem podniesionymi rogami nabitego pierza.

— Bo ty ni Boga, ni ludzkich jęzorów się nie boisz. Czekasz zmiłowania, do ostatecznego sądu pewnikiem. Zakrztusił Romana, pokaszlał wydmuchując strzępki dymu. Nalał następna wódkę. Ale odmierzył tak, że na dnie jeszcze łyk został. Wypił i zaczął się powoli rozbierać. Starannie złożył spodnie na rancie krzesła. Kalesony powiesił jak po praniu na drugim krześle.

— Puścić radio? — zapytał. Poznał już Stachy zwyczaj. Lubila leżeć z nim przy muzyce. Fantazjować i barszkować w halasie — taka już widać była romantyczka. Przyzwoliła. Z głośnika popłynęła rzeka jakiejś tam poważnej symfonii. Patrzyła w sufit, a Roman z nabożeństwem pochylał się nad jej szklanymi oczami. Nic z nich nie mógł wyrozumieć. Może wspominała tamtego nieboszczkę? Szarpnął ją pod pierzyną za udo.

— Gdzie masz pierścionek? — Jaki pierścionek? — spojrzała nieprzytomnie, jakby ze snu zbudzona.

— No, mojej Balbiny, com ci go dał po nieboszczce...

Zerwała się. Stała nad nim okrakliem, a: deski trzasnęły pod siennikiem.

— Toś ty taki! On się zarecza ty-dzień po pogrzebie, a teraz chce na-

gował u ciotki, odkupiłem go od gospodarzy za dziesięć „piłsudskich” i „królową Jadwigę”. Kupiłem za odłożone, od gręby odjąłem, a odrzuciłem, na przyjemności przez młode lata nie patrzyłem. Gruby był i złoty, jak wiesz. Tobie dałem po pierwszej nocy, boś mi jak nieboszczka bliska, a nawet i miłsza! Toć ty Stachna więcej warta od pierścionka! Ale zrozum, Józef przed wojskiem! Synek mój jedyny... On pierścien odda po wojsku, jak się tylko z tą swoją zdziłą pošubi, ona tego pierścionka za nic nie warta. Tyle, że Józek robotny — kto mi pomoże da? Kto zaorze, kto posieje, kto oporzadzi?! No i... to mój syn! Trza mu dać. Na razie, Stachna, na razie!

Klepał ją pod szyją, smyrał po plecach, tulił coraz mocniej. Ale żeby zwrócić! — myślał i nic mu do głowy nie przychodziło innego, tylko ją znowu brać pod pościel, żeby od złości sfołała. Tyle, że czuł kopniaka tam, gdzie teraz ważność cała. Poszedł więc na inny sposób.

— Stachna, ja ci takich pierścione-czków nasypię w obie garście, ino moją kobitą będziesz. Bo co teraz ludzie powiedzą? Ze kochanica po nieboszczce się sztyfuje!?

Tu przeholował sprawę. Stacha zła-pała za krzesło. Usłyszał jeszcze jakiś rumor, ale to pewnie ostatnie, co usłyszał. Obudził się w domu u siebie. Głowa w bandażu okręcona, a Stacha karmi go łyżką i uśmiecha się. Na prawej ręce świeci się pierścionek po Balbiny.

— Jak ci tam? — pyta troskliwe i poprawia mu poduszkę. Trochę krwi puściłeś biedaku... A może to i lepiej. Mój stary — niech mu tam ziemia lekka będzie — to w twoim wieku pijawki przystawiał, taki był krwisty.

Roman chce obrócić głowę do ścia-ny, nie może. I tam, gdzie go kopnęła, też niejako się czuje. Westchnął. I tak swego nie daruje. Uśmiechnął się, jak umiał najmilej. Też nie wyszło przez te bandaż pod głową i broda. Tylko mógł szepnąć:

— Przepraszam, Stachna, dobra z ciebie kobita. Aż mi miło, żeś taka jak siostra szpitalna! Aż mi miło... Pierścionek błysnął raz i drugi z nową porcją zupy na metalowej łyżce. Roman siordzie kartoflanek i mówi:

— O weselu trzeba jednak pomyśleć, bo tak to na nic.

Pojadł przy boskiej i Stachny pomocy. Bandaż uwiierał przy uszach i pod szyją.

— Może tak i trzeba, żeby uwiierały — powiedział do pochylonej nad nim kobiety. Może jeszcze za mało uwiierały? Cholery jasne!

Nazwa miasta o bogatych tradycjach historycznych malowniczo położonego nad brzegami Jeziora Lemańskiego w miejscu gdzie wypływa z niego Rodan, w sposób trwały związała się z nowożytną koncepcją międzynarodowej ochrony ofiar konfliktów zbrojnych. Tu przed stu trzynastu laty szwajcarski działacz społeczny późniejszy pierwszy laureat pokojowej nagrody Nobla — Henri Dunant, autor głośniejszych „Wspomnień spod Solferino” (w których zawarł wstrząsający opis cierpień rannych żołnierzy dogorywających na polu bitwy) rzucił hasło nadania tej ochronie formy instytucjonalizowanej, doprowadzając do utworzenia Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża.

Tu, w roku 1864, doszło do skutku pierwsza, złożona zaledwie z dziesięciu krótkich artykułów, międzynarodowa konwencja „o polepszeniu losu rannych żołnierzy w armiach w polu będących”.

Tu wreszcie, przed dwudziestu siedmiu laty — pod bezpośrednim wpływem tragicznych doświadczeń drugiej wojny światowej — wypracowano i przyjęto przy udziale 61 państw cztery obszerne już i szczegółowe konwencje, z których pierwsza dotyczy losu rannych i chorych w lądowych siłach zbrojnych, druga — losu rannych, chorych i rozbitków sił zbrojnych na morzu, trzecia — traktowania jeńców wojennych a czwarta ochrony osób cywilnych w czasie wojny.

Czwierćwiecze, jakie upłynęło od ich podpisania przyniosło zasadnicze zmiany w technice i taktyce prowadzenia walki. Do wyposażenia poszczególnych armii weszły zupełnie nowe, niezna-

nym współczesnego świata i wyomogom współczesnego pola walki. Koniecznym stało się ich udoskonalenie i przystosowanie do zmienionych potrzeb i warunków.

Wychodząc tej potrzebie naprzeciw Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża przygotował w oparciu o konsultacje z ekspertami rządowymi projekty dwu protokołów dodatkowych do konwencji o ochronie ofiar wojny z 1949 roku. Pierwszy z nich odnosi się do konfliktów zbrojnych między państwami, drugi — do zarządków zbrojnych „nie mających charakteru międzynarodowego” a więc do tak zwanych „wojen domowych”.

Dla rozpatrzenia i przedyskutowania obu tekstów przedstawionych przez Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża Rząd (Rada Związku) Szwajcarii zwołał do Genewy specjalną konferencję dyplomatyczną. Wybudowany w znacznej części je-

Wspólną na ogół cechą znamionującą postawę państw kapitalistycznych było traktowanie jej jako kolejnego etapu w procesie rozwojowym norm prawa narodów dotyczących ochrony ofiar wojny. Wielu delegatów krajów zachodnich specjalnie podkreślało, że konferencja dyplomatyczna nie powinna poza ten cel wykraczać.

Ze swej strony państwa wspólnoty socjalistycznej oraz znaczna część państw niezaangażowanych stawiła przed konferencją zadania o wiele bardziej ważne i rozległe — dostosowanie tej części prawa narodów, która dotyczy ochrony ofiar wojny do nowej rzeczywistości politycznej świata. Szczególnie znaną cechą wypowiedzi reprezentantów Związku Radzieckiego oraz aktywnie z nim współpracujących krajów socjalistycznych było pryncypialne podkreślenie, iż główny wysiłek rządów iśc powinien w kierunku przede wszystkim skutecznego zapobiegania konfliktom zbrojnym przez konsekwentne respektowanie zasad Karty Narodów Zjednoczonych i realizację poczynań rozbrojeniu.

Wielkość a zarazem i kontrowersyjność zagadnień, jakie wyloniły się w toku genewskiej debaty, sprawiła, że przez ponad pięć tygodni jej trwania nie zdołano uzgodnić nawet jednej ogólnej liczby postanowień. Zwolano przeto kolejną, trzecią sesję, która zakończyła właśnie obrady w Genewie przed paru tygodniami — i tym razem nie doprowadzając do ostatecznego porozumienia. Następna — jak można się spodziewać już ostatnia — sesja odbędzie się na wiosnę przyszłego roku.

Za jedno z najważniejszych dokonań w dotychczasowych pracach konferencji dyplomatycznej uznać trzeba zasadnicze przewartościowanie prawnomiędzynarodowej kwalifikacji walk narodowowyzwoleńczych stanowiące poważny sukces dyplomacji wspólnoty socjalistycznej. Sześć spośród należących do niej państw (w tym Polska i ZSRR) przedstawiło jeszcze w roku 1974 wespół z Algierią, Marokiem i Tanzanią wniosek o przyjęcie wyraźnego postanowienia, że konflikty, w których „narody walczą przeciw kolonialnej i obecnej dominacji oraz przeciw reżimom rasistowskim” nie będą uważane za konflikty wewnętrzno państwowe („wojny domowe”), ale za zarzątki zbrojne o charakterze międzynarodowym.

Pomimo gwałtownego sprzeciwu ze strony większości państw kapitalistycznych wniosek został ostatecznie zaakceptowany w głosowaniu ogromną większością głosów. Jego przyjęcie zaś oznacza formalne przyznanie kombatantom ruchów narodowowyzwoleńczych międzynarodowej ochrony analogicznej do tej, z jakiej korzystają żołnierze regularnych armii walczących państw. Oznacza, iż rząd stosujący zbrojną przemoc dla stłumienia walki wyzwoleniczej ujarzmionego przez siebie obcego narodu nie może już operować argumentem, że jego stosunki z tym narodem są sprawą wewnętrzną, nie podlegającą reglamentacji prawnomiędzynarodowej.

Istotny postęp zdołano też już osiągnąć w dążeniu do wypracowania doskonałszych aniżeli dotychczas obowiązujące zasady międzynarodowej ochrony obiektów i transportów sanitarnych, norm w przedmiocie karania i ekstradycji przestępców wojennych, środków mających zapewnić skuteczniejszą ochronę osób cywilnych nie biorących udziału w walce.

Wiele uwagi poświęcono mającemu zasadnicze znaczenie praktyczne problemowi dopuszczalności stosowania tak zwanych „represaliów” czyli środków odwetowych kierowanych przeciwko nieprzyjacielskim żołnierzom czy ludności cywilnej. Wśród wysuniętych w toku dyskusji propozycji nie zabrakło również i takich, które dotyczą ochrony środowiska naturalnego przed niszczącymi skutkami działań wojennych.

Trzy dotychczasowe sesje genewskiej konferencji dyplomatycznej międzynarodowego prawa humanitarnego konfliktów zbrojnych ujawniły istnienie wśród jej uczestników daleko nie raz idących różnic w podejściu do trudnych i złożonych problemów, jakie wylaniają się z związku z faktem, że spory międzynarodowe zbyt często jeszcze rozwiązywane są poprzez użycie siły zbrojnej zamiast pokojowych rokowań. Ale wykazały też dobitnie, jak bardzo w ostatnich latach zyskały w świecie na znaczeniu te siły, które opowiadają się stanowczo za eliminowaniem ze stosunków międzynarodowych wypadków stosowania przemocy, a jeśli już mimo wszystko dojdzie do jej użycia — za jak najdalej posuniętą humanitarną opieką nad ofiarami zbrojnego.

ZBIGNIEW S. NOWAK

GIBANE

Rzecz miała być o działalności pewnego klubu przyzakładowego. Ze sprawa wyłaniała się znakomity obraz placówki serwującej „kulturę dla mas” pod hasłem: „Klub uczy, bawi, wychowuje”. Krótko mówiąc, rzecz warta przedstawienia innym dla przykładu.

Stara dzielnica robotniczej Łodzi — ulice obramowane dawnymi „czyszczownikami” o spleknanym tynku, gdzieś tam pamiętające jeszcze ubiegłe stulecie parterowe domki tkackie pod ciężkimi, spadzistymi dachami, mroczne nisze podwórek, porozbijane bramy z napisami „Dozorca mieszka...”

Przy jednej z nich czerwona tabliczka pokryta ciężkimi piegami rdzy: „Międzyszakładowy Klub...”. Wąski przesmyk między dwiema kamieniczkami wiede w ciemną czelusnę podwórka, gdzie psy, koty i gołębie dzielą między siebie sterty śmieci i spłacheć wyluskałego trawnika. W głębi, za szarą zielenią rachitycznych jabłonek wstydliwie kryje brudne ściany długi barak. Nad drzwiami także czerwona tabliczka.

Wnętrze nadszpejdowanie czyste. Szkania, mały barek, dwie sale o ścianach w „pikasy”, pod nimi stoliki ożywione kolorowym lnem. W rogu niewielka strada. Aha, i jeszcze dwie szafy obwieszone ciężkimi kłódkami — w nich podobno prasa i książki. Telewizor w naprawie. Szkoda, bo akurat czas na kolejną transmisję z igrzysk olimpijskich.

Ale nic to, bowiem i tak zaczyna się ruch w interesie. Czterech wąsatych młodzieńców po czterdziestce montuje na estradzie elektryczne samograjce.

Tymczasem u wejścia do klubu gromada niecierpliwych amatorów rozrywki. Panny paradnice — drukowane podkoszulki, niższe teksas, a dalej jeszcze kurny, słomiaki, korki i inne drewniak; pstry się ciężki makijaż, dźwięczą druciane wisioły, klekocą plastikowe bransolety, gdzieś tam ostatni błysk lusterka. Panowie nie gorsi — włos długi, długo nie myty, długo nie strzyżony, ale uczucie trzeba przyznać, że trafiają się „higienięści”. Ubranka wymięte zgodnie z wymogami mody, butki też przepiślowe — dużo drewna, trochę skóry, wysoki obcas, mały połysk.

Wstęp „po dychu”: bilety oddaje się przy wejściu na salę. Ale dziwnym trafem potwierdzają się racje Einsteina: biletów sto, a luda na sali ze dwieście. Nareszcie drzwi zamknięte. Pani Czesia chowa klucze do kieszeni i ociera pot z czoła.

— Pani kierowniczko, jeszcze tylko my! — dobiega z zewnątrz. Ale pani kierowniczka jest nieublagana; i tak wykonano dwieście procent normy, ile można?! Rezerwy też mają swoje granice.

Nieśmiało indaguję sympatycznego młodzieńca:
— Co tu będzie?
— To koleś nie wie? Gibane, jak zawsze!

Chyba zdradzam wyraźny brak orientacji, bo młodzian przywołuje drugiego:
— Hej, Burak, kolega tu nowy, trza by go...

Skóra mi cierpię przez moment, ale Burak — usmiecha się sympatycznie. Masywna postać budzi zaufanie. Wyciąga potężne łapsko.
— Sie masz!
— O kay! — odpowiadam co prędzej, choć mało mi ręki nie urwał, a przeciłem też nie ulomek.

W tej chwili dowiaduję się wreszcie, co to jest „gibane”. Ostry tusz orkiestry, huk perkusji. Szef estradowców, sam pan Genio podchodzi do mikrofonu, lekko unosi ręce. Na sali cichnie.

— Witam sianowne Państwo! Zyczem milego nastroju na naszym wieczorku! Wesolej zabawy, znaczy się! Gibaneee...!

Gruchnęła perkusja, jękneły przerażone organy, zakwiliły gitary. Solista też:
— Una paloma blanca...!

Przygasły światła, zagrały na ścianach blade cienie, włosy dziewcząt posplatały się z rękami chłopaków, poszedł kurz z podłogi. Masy ruszyły w tany. Burak także, rzucając na odchodne:
— Jakby co, to powołaj się na mnie.

Jakby co, to znaczy co?! Znow robi mi się nieswojo. Jęklawy pasaż organowy, potem „Waterloo” i jeszcze coś. Wreszcie chwila przerwy. Burak zaprasza mnie do barku:
— Jesteś obcy, znaczy się, trza to załatwić...

Próbuję się domyślić, o co chodzi i mam szczere chęci zapłacić za kolejną „pełnych”, ale Burak gwałtownie protestuje:
— Ja wprowadzam, ja płacę.

Odbieramy cztery „pełne”, odchodzimy na bok. Po chwili dołącza do nas jeszcze kilku. Wysoki blondyn „afro” rzuca na boki szybkie spojrzenia i niczym magik wyczarowuje butelkę „Stołowej”. Błyskawiczna kolejka.

Znow muzyka, grzmią kolumny, drżą ściany. Gibane! I tak do końca zabawy. Godzina dwudziesta druga — koniec. Pan Genio kłania się szarmancko:
— Żegnamy sianowne Państwo! Zapraszamy na następny raz! Dobranoc!

Przy wyjściu tłok. Próbuję to wykorzystać na mały rekonesans:
— Zawsze tu u was tak fajnie? — pytam młodych ludzi.
— Cztery razy w tygodniu... we wtorki, czwartki, soboty i niedziele.
— A poza tym?
— No, można wypić kawę, poczytać gazetę, porozmawiać. Przedtem był jeszcze telewizor, ale się zepsuł, to trochę nudno.

Wychodzimy z klubu. Gdzieś w ciemnościach szamotanina. Burak interweniuje:
— Spokój, do cholery, bo...

Zacietrzewieni młodzieńcy rozpierchają się.
— Masz tu mir — mówię pochlebnie.
— Muszę, bo inaczej smarkacze się pozabijają. Trza ich uczyć kultury, ktoś musi to robić.

„Zabawnicy” rozchodzą się powoli. My także zmierzamy w stronę pobliskiego przystanku tramwajowego.

— Czy tu u was organizuje się czasami jakieś spotkania z ciekawymi ludźmi, konkursy...

— Takie bardziej kulturalne imprezy, co? — przerywa Burak. — To nie na ten klub. Tu by trzeba kierownika z głową do kultury a nie do interesów. Przydałby się jakiś instruktor. Można by zorganizować teatr amatorski czy jakiś inny zespół. Ludzie by byli chętni. Kiedyś nawet próbowałyśmy coś zrobić, ale nie wyszło. Tu potrzebna fachowa pomoc. Ludzie nie wykształceni, po „podstawówce”, najwyżej po szkole zawodowej. Ktoś musi nas uczyć kultury, tego wszystkiego, poprowadzić całość. Ale gdyby coś, to chętni by byli — mówię z przekonaniem.

Przypominam sobie piękne sprawozdania z pracy klubu, ale nie ma już czasu na dyskusję, bo oto nadjeżdża mój tramwaj. Burak wyciąga rękę:
— Wpadnij do nas jeszcze kiedyś...
— Przyjść! Przy okazji.

Wsiadam do tramwaju. Burak kiwa ręką.
— Cześć!

Rzecz miała być o chlubnej działalności kulturalnej pewnego klubu przyzakładowego... Kiedyś na pewno o takim klubie napiszę. Niebawem!

ANDRZEJ GÓRBIEL

ŚWIAT PEŁEN KONFLIKTÓW

ne dotąd środki bojowe. Rozszerzeniu uległ nie tylko stale doskonalony i modernizowany arsenał broni masowego rażenia, ale także i innych nowoczesnych środków szkolenia nieprzyjacieli. „Broni neokonwencyjnych”, które tak jak napalm i substancje chemiczne podobne do niego w działaniu, jak bomby czy pociski kulkowe i igłowe bądź to powodują u atakowanych nadmierne cierpienia, bądź też mają cechy broni niekontrolowanego rażenia, a więc takiej, nad którą władający nią z chwilą użycia tracą kontrolę i której (podobnie jak broni masowej zagłady) nie sposób nacelować wyłącznie na walczących żołnierzy przeciwnika.

Dla uaoocznienia konsekwencji tego zjawiska wystarczy przypomnieć, że o ile w pierwszej wojnie światowej liczba zabitych żołnierzy była dwudziestokrotnie większa od liczby zabitych osób cywilnych, to podczas drugiej wojny światowej straty w armiach były mniej więcej równe stratom wśród ludności cywilnej. Natomiast w wojnie wietnamskiej zginęło już trzynastokrotnie więcej cywilów aniżeli żołnierzy.

W latach, jakie upłynęły od zawarcia wspomnianych konwencji genewskich, zmienił się też w niemałym stopniu polityczny charakter konfliktów zbrojnych. Znaczna ich część, to już dziś nie zatargi sensu stricte międzypaństwowego, ale wojny domowe, kolonialne, narodowowyzwoleńcze, rozgrywane się na obszarze jednego państwa. Te właśnie przede wszystkim względy sprawiły, że postanowienia konwencji genewskich przestały już odpowiadać realiom poli-

tycznym w okresie międzywojennym Pałae Narodów przestał już od dawna wystarczać na potrzeby rozlicznych odbywających się nad Lemanem zjazdów i rokowań międzynarodowych. Stąd też obrady nad międzynarodowym prawem humanitarnym konfliktów zbrojnych wypadło zlokalizować we wzniesionym niedawno staraniem władz genewskich budynku Międzynarodowego Centrum Konferencyjnego przy ulicy Varembe, uderzającego nowoczesnością i funkcjonalnością rozwiązań architektonicznych. Jego główną salę posiedzeń przewidziano zasadniczo na osiemset osób można w razie potrzeby dzięki systemowi ruchomych ścian i podłóg rozszerzać (przez połączenie z trzema sąsiednimi salami) tak znacznie, iż jest ona w stanie pomieścić do dwóch tysięcy delegatów.

Konferencja dyplomatyczna rozpoczęła się 20 lutego 1974 roku i, wedle szczegółowo opracowanego programu, zakończyć się miała 29 marca tego samego roku uroczystym podpisaniem ostatecznej wersji redakcyjnej proponowanych dokumentów. Stało się jednak zupełnie inaczej. Konferencyjne obrady daleko odbiegły od zaplanowanego przez organizatorów harmonogramu. Przekształciły się w ożywioną, a chwilami wręcz burzliwą — debatę wokół szeregu szczególnie istotnych problemów politycznych i prawnych związanych z konfliktami zbrojnymi doby współczesnej. Od samego też początku tej dyplomatycznej debaty zupełnie wyraźnie zaznaczyła się przeciwstawność stanowisk poszczególnych grup jej uczestników w odniesieniu do przedmiotu prac konferencji.

ALEKSANDER
JAWICZ

ZZA zatrzaśniętych DRZWI...

„Urodziłem się po to, by czynić piekło na ziemi...”. Jest to credo przestępcy, dziś już więźnia, wyrażone „zdobniczym” tatuażem na plecach. „Tylko dla pań” — to napis mozolnie tatuowany na podbrzuszu innego młodego człowieka. Jeszcze inny ma całe ciało pokryte „główkami” kobiet i „podobiznami” szatana, myszy oraz różnych stworów „nieziemskich”, a także słowami „do widzenia” w języku... francuskim. Inny znów mężczyzna ma na jednym przedramieniu wytatuowane róże „dla Wiesi”, na drugim zaś syrenkę w igraszcze z samcem o ludzkiej postaci, ale bydłowej głowie. Jeszcze inny ma wytatuowane na rękach symboliczne znaki szubienicze, a na ramionach... dystynkcje wojskowe: gwiazdka i dwie belki.

Takich przypadków można spotkać wiele w „historiach choroby”. Są one zilustrowane przeróżnymi wykresami reakcji organicznych, zdjęciami, szczególnie wymiowymi, na podstawie których lekarz odtwierdza przyczyny, mechanizmy, procesy myślowe w przebiegu **ZABURZEN OSOBOWOŚCI**. Metodą analiz i porównań lekarz ustala wpływy poszczególnych czynników kryminogennych (alkoholizm, niedorozwój umysłowy, ujemne wpływy środowiskowe, urazy psychiczne, określone sytuacje społeczne itp.). W taki oto sposób wypracował sobie M.S., łódzki lekarz-praktyk, specjalizację naukowo-badawczą.

Na pytanie: **KIM JEST WSPÓLNY PRZESTĘPCY?** — wypowiedziała się nie tak dawno na łamach „Gazety Prawniczej” doc. dr hab. Lidia Uszkiewiczowa, kierownik warszawskiej Kliniki Psychiatrii Sądowej. Stwierdziła ona wówczas m.in.:

„Charakterystyczna jest znaczna przewaga stanów niepsychotycznych nad psychotycznymi (...) Ponad 3/4 materiału — to stany niepsychotyczne, a wśród nich najczęściej grupy, to zaburzenia osobowości (25 proc.), alkoholizm (13 proc.), niedorozwój umysłowy (11,5 proc.)... Skłonność do systematycznego nadużywania alkoholu występowała u co najmniej połowy ogółu badanych (...) Przeważnie przyczyny są złożone i w grę wchodzi różna liczba czynników, a więc oprócz zaburzeń psychicznych czynniki społeczne. Te ostatnie, to mogą być ujemne wpływy środowiskowe, jak również urazy psychiczne w postaci ciężkich przeżyć, konfliktów, prowokacji ze strony otoczenia. Poważnym czynnikiem kryminogennym jest — jak wiadomo — alkohol w ogóle, w tym również u sprawców z zaburzeniami psychicznymi”.

Dla wspomnianego łódzkiego lekarza choroba alkoholowa jest jednym tylko z przedmiotów badania.

— **Rozwój tej choroby — mówi — jest przede wszystkim uzależniony od OSOBOWOŚCI człowieka. Przy analizie przestępstwa popełnionego w stanie upojenia alkoholowego zależność jest prosta. Ale trzeba też znaleźć przyczyny powstania alkoholizmu. Obecnie rozpoznawanie i leczenie choroby alkoholowej jest doskonale poznane, ale nie ma jeszcze instytucji koordynującej profilaktykę z leczeniem.**



Foto: Archiwum

KONRAD TUROWSKI

NIESPODZIANKA

Dalszy ciąg ze str. 1

Ani sprawcy, który skrzywdził jego córkę ani roweru nieszczęsny gospodarz nie znalazł. Wrócił do izby, szybko obmył nogi bo mu zlodowociały od biegania na bosaka po polach, wciągnął wiatowane portki, narzucił futajkę i wsiadł na „Komarka”, kierując się w stronę najbliższego posterunku MO, odległego o 5 km. Pech chciał, że po drodze brakło mu benzyny. Musiał budzić znajomego, by mu pożyczył cnoć dwa litry mieszanki. W rezultacie jednak minęło tyle czasu, że zaalarmowana mijała nie znalazła na miejscu przestępstwa żadnego śladu, który mogłoby okazać się pomocny w zidentyfikowaniu i ujęciu sprawcy. Nie pomógł też pies śledczy „Astor”, który zapisywał na swoim koncie już takie sukcesy, jak wytropienie złodzieja zamienionego aż 15 km od miejsca kradzieży.

Nic nie dało również przesłuchanie Joanny E. Wprawdzie ochłonęła z głębokiego szoku, ale nie potrafiła podać żadnego charakterystycznego szczegółu, który mogłoby stanowić jakikolwiek punkt wyjścia z impasu dla wszczętego śledztwa. Była tak przerażona napaścią, że nawet nie mogła sobie przypomnieć czy sprawca był w czapce czy z gołą głową...

Mijały tygodnie i miesiące a śledztwo nie posuwało się naprzód. Stwierdzono jedynie, że w rachubę nie wchodził żaden mężczyzna już karany za przestępstwa o podłożu seksualnym. Dokładnie sprawdzono, że każdy z nich miał niepodważalne alibi. Doświadczeni pracownicy służby kryminalnej zdawali sobie sprawę, że nie mogą liczyć na błyskotliwy sukces. Co gorsze, nie mogli być pewni, że ten sam sprawca nie dokona następnego przestępstwa...

W pół roku po napaści na Joannę E., znów w rejonie S. dokonano gwałtu połączonego z obrabowaniem ofiary. W innym miejscu, bo na skraju lasu rozgrzającego dwie wieś, w środę 17 maja nieznamy mężczyzna zatrzymał jadącą rowerem 33-letnią Kazimierę B. Było wprawdzie dość wcześnie bo dopiero kończył się dzień w Telewizji. Było dość widać, jechała więc szybko, gdy nagle wyskoczył na drogę mężczyzna i usiłował chwycić za kierownicę. Zdołała go odepchnąć i jeszcze silniej nacisnęła na pedały. Nie ujechała daleko. Ogarnięta panią zбочzyła z ubitę ścieżką i koła ugrzęzły w piachu. Napastnik

dogonił ją i ciosem zadany jakimś tępym narzędziem w głowę zwał z roweru. Rozpaczył się bronila, ale nie mogła gardła oswobodzić od krepującego uścisku jego silnych dłoni. Zabrał jej zegarek i ściągnął z palca obrączkę...

I tym razem okoliczności sprzyjały sprawcy przestępstwa. Znalaziono ślady męskiego obuwia wyraźnie odcisnięte w piachu, ale urywały się 15 metrów dalej, wśród leśnych gąszczy, gdzie najpewniej miał ukryty rower, którym szybko się oddalił.

Kazimiera B. zapamiętała jedynie, że napastnik przesiąknięty był takim zapachem, jakby dopiero co wyszedł ze stajni. Znow wiew śledztwo utknęło w martwym punkcie. Aż do czasu, gdy w czwartek 12 października ofiarą napadu padła 17-letnia Jolanta Z., uczennica Technikum Odzieżowego w P. Szła polami do domu po zajęciach praktycznych, które skończyły się o godz. 16,15. Nie było jeszcze ciemno. Z daleka zobaczyła obcego mężczyznę stojącego za drzewem. Jego zachowanie wydało się dziewczynie na tyle niepokojące, że wyjęła z torebki nożyczki krawieckie, traktując je, jako narzędzie obrony w razie zaczepki. Nie przestraszyła jednak zбочzeńca. Oszołomił ją w identyczny sposób, jak poprzednią ofiarę — ciosem w głowę, gdy tylko spostrzegł nożyczki w ręku dziewczyny. Bała się, że ją zamorduje. Udawała nawet nieprzytomną gdy radował jej zegarek. Ale najgorsze obawy minęły, gdy usłyszała warkot odjeżdżającego motocykla. Ostrożnie powiosła się i jak mogła najszybciej pobiegła do posterunku MO w S. Potrafiła pobieżnie opisać wygląd sprawcy. Zapamiętała, że był w berecie i granatowej kurtce z ortalionu, miał duży nos, kościaste policzki i ciemne, długie włosy...

Na tej podstawie zdecydowano sporządzić pamięciowy portret poszukiwanego przestępcy, któremu ze względu na podobieństwo w postępowaniu z ofiarami przypisywano popełnienie wszystkich trzech napadów na kobiety. Wielokrotnie już zdarzało się, że domniemane podobizny wykonane w oparciu o informacje osób poszkodowanych w walnie przyczyniały się do pełnego sukcesu organów ścigania. Portrety pamięciowe zyskały więc sobie opinię jednej z skuteczniejszych metod w nowoczesnej kryminalistyce. Wykształcono grupę specjalistów, którzy je wykonują dla potrzeb milicyjnych. Jednego z takich fachowców zatrudniła łódzka służba kryminalna. Do niego też postanowiono zwrócić się o pomoc.

Inspektor delikatnie zapukał i otworzył drzwi kurtuazyjnie ustępując pierwszeństwa swojej podopiecznej. W pokoju stały trzy biurka. Specjalista od rysowania portretów dzielił go bowiem jeszcze z dwoma laborantami pracowni fotograficznej laboratorium służby kryminalnej. Dziewczyna weszła, ale zrobiła tylko jeden krok i zatrzymała się z wyraźnym wahaniem. Jej opiekun spostrzegł, że pobladła.

— **Proszę, niech pani wejdzie dalej** — powiedział chcąc ją ośmielić. — **My właśnie do tego pana** — wskazał rysownika siedzącego za biurkiem po prawej stronie.

Dziewczyna usiadła na krześle, ale widać było, że jej niepokój nie opuszcza. Inspektor przywitał się ze specjalistą i podszedł do biurka jednego z laborantów, by też podać mu rękę. Laborant właśnie żegnał się z jakimś mężczyzną, którego inspektor widział tu pierwszy raz. Mężczyzna widocznie nie chciał przedłużać swojej wizyty bo powiedział:

— **To ja już sobie pójdę.**
Ledwie drzwi się za nim zamknęły Jolanta Z. trwożliwie wyszeptala:

— **To on panie inspektorze...**
— **Kto! Kto to jest?! Skąd się tu wziął?! —** wzburzył się doświadczony pracownik służby kryminalnej.

Zamiast odpowiedzieć laborant chwycił za słuchawkę:

— **Proszę pod żadnym pozorem nikogo nie wypuszczać z gmachu** — mówił do aparatu. Zaraz też zbiegli z inspektorem na parter. Mężczyzna, który przed chwilą swobodnie wyszedł z pokoju akurat okazywał przepustkę wartownikowi. Pewien był, że wszystko jest w największym porządku. Nie spodziewał się, że dziewczyna go poznała. Był przecież wtedy całkiem inaczej ubrany...

27-letniego Władysława B. aresztowano pod zarzutem dokonania trzech gwałtów połączonych z obrabowaniem ofiar. Od trzech miesięcy pracował jako cieśla budowlany dobrze zarabiając w jednym z łódzkich przedsiębiorstw. W jego szafce w hotelu robotniczym znaleziono zegarki zrabowane kobietom w rejonie S. Ustalono, że w maju nigdzie nie pracował, włóczył się w okolicach S. nocując po kryjomu w stajniach. Jest żonaty, ma dwoje dzieci. Nie mieszka jednak z żoną i nie płaci na utrzymanie synów. Sąd Wojewódzki w Łodzi wymierzył mu karę 15 lat pozbawienia wolności...



Owego poniedziałku 16 października Władysław B. znalazł się w gmachu łódzkiej komendy MO najzupełniej przypadkowo. Poprzedniego dnia, w niedzielę, na auto-giełdzie przy ul. Nowo-Teresy sprzedawał „SHL-ke”. Kupił ją przed miesiącem ale postanowił sprzedać, bo zimą nie miał gdzie trzymać motocykla. Pojazdem zainteresował się młody laborant. Władysław B. nie mógł wiedzieć, że dobija targu z pracownikiem MO. Dowiedział się o tym dopiero wówczas, gdy miał spisać umowę kupna-sprzedaży. Pogoda była paskudna, siałpił deszcz, uniemożliwiając sporządzenie dokumentu. Nowy właściciel „SHL-ki” zaproponował, by nazajutrz Władysław B. wpaść do komendy dla dopełnienia zwykłej formalności...

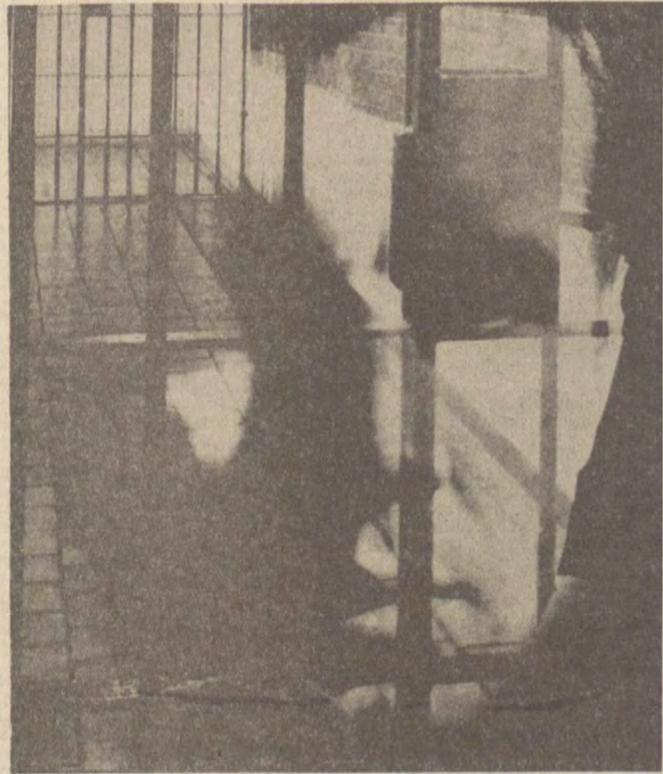


Foto: W. Parys

Dalszy ciąg ze str. 1

STRACH

towarzyszył tegorocznym XXI Igrzyskom Olimpijskim w Montrealu. Strach, aby nie powtórzyło się to, co wydarzyło się w Monachium, aby nie rozległy się strzały, nie polała się krew. Dlatego nim do wioski olimpijskiej przybyli sportowcy, już tam była zbrojna ochrona. Oblicza się, że władze kanadyjskie wydały na ten cel około 100 milionów dolarów, a więc ochrona życia i bezpieczeństwa jednego sportowca kosztowała mniej więcej 14 tys. dolarów. Dziennikarze zauważyli, że Kanada w czasach pokojowych wystawiła największą armię od czasów drugiej wojny światowej.

System ochrony był czymś niezwykle uciążliwym dla sportowców. I na dodatek nie był wcale skuteczny. Sami Kanadyjczycy wystali grupę najlepszych komandosów, aby sprawdzić skuteczność systemu ochrony. Trzydziestu komandosów kanadyjskich wyruszyło więc do ataku na wioskę olimpijską i... pięciu dostało się do środka. Pozorowany atak udał się. Na szczęście tylko pozorowany.

Zdarzyły się też inne incydenty. Jeden z nich był szczególnie zabawny. Otóż w czasie uroczystości zakończenia XXI Igrzysk Olimpijskich w Montrealu na stadion wdarł się pewien Kanadyjczyk... całkowicie goły i przez

że usunie się z MKOl Tajwan. Większość członków MKOl jest za przyjęciem Chin, ale nie ma jeszcze zdania w sprawie usunięcia Tajwanu.

Te wszystkie problemy trzeba będzie rozstrzygnąć w najbliższym czasie, gdyż zaraz po wygaszeniu znicza olimpijskiego, rozpocznie się przygotowanie do XXII Igrzysk Olimpijskich w Moskwie, które — jak wiadomo — odbędą się tam w 1980 roku. Przedstawiciele radzieckich sportowców zostali upoważnieni do złożenia oświadczenia, że władze ZSRR nie będą czyniły wstrętów żadnej ekipie, pod warunkiem oczywiście, że nie zostaną pogwałcone normy olimpijskie i normy pokojowego współżycia.

Gwoli sprawiedliwości trzeba dodać, że ekipa radzieckich sportowców była wystawiona na liczne prowokacje. Władze kanadyjskie musiały nawet usunąć z personelu olimpijskiego tłumacza, który dopuszczał się licznych prowokacji wobec radzieckich sportowców.

Wyniki też i inne komplikacje. Tym razem już natury wewnętrznej. Kanadyjczyki — mimo, że mieli niebywałą frajdę — nie są zadowoleni z Olimpiady. Ich zdaniem wydatki znacznie przewyższyły wpływ. Na organizację Olimpiady wydano 1,5 miliarda dolarów. Wpływy z biletów, transmisji telewizyjnych i z innych źródeł pokryły zaledwie nieznaną część wydatków. Podatnik kanadyjski jest przekonany, że resztę wydatków pokryje on. Poza tym są domniemania, że przedsiębiorcy, którzy stawiali

się właśnie stało. Jeszcze w Monachium nikt nie słyszał o Rumuncu **Nadi Comanei** i nikt nie przypuszczał, że okaże się aż tak rewelacyjna. **Walery Borzow** w biegu na 100 m zajął dopiero trzecie miejsce, a przecież był on między innymi faworytem. W gruncie rzeczy nawet nasi złoci siatkarze nie byli faworytami. Tak sądziło u nas. Miałam już okazję pisać o tym, że w konkursie „Studia olimpijskiego” TVP większość telewidzów do złotego medalu typowała... Japonię. Tu mogę się przyczepić, że wierzyłam w naszych siatkarzy i metody szkolenia **Huberta Wagnera**, czemu niejednokrotnie dawałam wyraz publicznie. Zawiedli natomiast nasi piłkarze, co zresztą dla nikogo, kto realnie ocenia sytuację w piłce nożnej, nie powinno być zaskoczeniem. A jednak było...

Było między innymi zaskoczeniem dla **Jana Ciszewskiego**, którego zwykliśmy uważać za wybitnego znawcę piłki nożnej. Nie mam zamiaru kwestionować kwalifikacji tego popularnego sprawozdawcy sportowego. Nadąg podziwiam, ale z przykrością patrzyłam i słuchałam, jak Jan Ciszewski... kajał się przed kamerami. Miał on bowiem to nieszczytne, że po wątpliwym sukcesie polskiej drużyny piłkarskiej nad słabą przecież reprezentacją Ludowo-Demokratycznej Republiki Korei i takim samym nad amatorską reprezentacją Brazylii, uległ nieczym nieuspokojeniemu entuzjazmowi i zwrócił opowiadanie przed kamerami TVP o zwykłej formie

KATAKLIZMY

PRYMULA ŚMIERCI

Właściwa jej nazwa brzmi: prymula królewska. Rośnie na Jawle i nazywana jest jeszcze „kwiatkiem trzęsienia ziemi”. Rośnie ona bowiem jedynie na stokach wulkanów i zakwitła tylko i wyłącznie w przededniu wybuchu. Ludność mieszkająca w okolicy wulkanów pilnie obserwuje „prymulę śmierci” i gdy tylko zobaczy, że zakwitła, natychmiast ucieka w bezpieczne miejsce.

Po ostatnim wielkim trzęsieniu ziemi w północno-wschodnich Chinach, jakie miało tam miejsce 28 lipca 1976 roku, ludność tego rejonu została ostrzeżona, że wstrząsy mogą powtórzyć się. I istotnie powtarzały się, a według obserwacji sejsmologów epicentrum trzęsienia ziemi przesunęło się w kierunku Pekinu. W związku z tym ludność Pekinu, a także innych ośrodków w tym rejonie, koczowała na ulicach. Placówkom zagranicznym zalecono ewakuację części personelu i ich rodzin.

Według doniesień agencyjnych z 3 sierpnia 1976 roku rzecznik chińskiego MSZ poinformował, że od 30 lipca 1976 roku rejon Tangszan został nawiedzony jeszcze 15 nowymi wstrząsami o sile wyższej niż 5 stopni w skali Richtera. Chińscy sejsmology nadal ostrzegają przed możliwością dalszych wstrząsów. I są to — jak widać — ostrzeżenia nie bezpodstawne.

Wyłania się w związku z tym pytanie: czy trzęsienia ziemi można przewidzieć? Agencja „Reuters” opublikowała obszerny artykuł omawiający chińskie sposoby przewidywania trzęsienia ziemi. Polegają one między innymi na obserwacji rzadkich zjawisk przyrody, o których wiadomo, że poprzedzają trzęsienie ziemi. Sposoby te — pisał „Reuter” — wydawały się na Zachodzie nieco podejrzane, ale w wielokrotnej weryfikacji wzbudziły respekt wielu naukowców.

Kilka miesięcy temu w „Polityce” Mariusz Kukliński i Andrzej Markert w artykule pt. „Ziemia w konwulsjach” szeroko pisali o chińskim systemie ostrzeżeń przed trzęsieniem ziemi. Powstał on z inicjatywy zmarłego premiera Czu-En-laja w 1966 roku, po dwu silnych trzęsieniach ziemi, jakie w marcu tamtego roku nawiedziły prowincję Hopen. Od tego czasu obserwacją różnych objawów, jakie poprzedzają trzęsienie ziemi, zajmuje się 10-tysięczna armia specjalistów oraz 100-tysięczna armia amatorów, odpowiednio przygotowanych i przeszkolonych. Działa nieustannie 17 obserwatoriów wyposażonych w najnowocześniejszy sprzęt sejsmologiczny oraz 300 obserwatoriów regionalnych. Odbijają się też „manewry sejsmiczne”, mające na celu przygotować ludność do ratowania się przed kataklizmem. Zdaniem francuskich sejsmologów chińskim specjalistom udało się już dziesięciokrotnie przewidzieć trzęsienie ziemi o sile powyżej niż 5 stopni w skali Richtera. Wszystko wskazuje jednak na to, że ostatniego, z 28 lipca 1976 roku nie udało się przewidzieć.

A więc, czy trzęsienia ziemi można przewidzieć? Opinie uczonych są co do tego podzielone. Nie ulega wątpliwości, że już po fakcie ludzie uświadamiają sobie, że przed kataklizmem obserwowano wiele niecodziennych zjawisk, ale nikt nie zwrócił na to szczególnej uwagi. Również wielu uczonym udało się już przewidzieć trzęsienie ziemi.

M. Roubaud w wydanej u nas niedawno książce „Czy można przewidzieć kataklizmy” tak pisze na ten temat:

„Według hipotezy opublikowanej już dość dawno przez Reeda — trzęsienie ziemi jest wynikiem powolnej deformacji skorupy ziemskiej, powodującej w momencie przekroczenia granicy wytrzymałości terenu nagłe przerwanie ciągłości podłoża. I to wiemy na pewno. Jednak poznanie dokładnego momentu, w którym nastąpi przekroczenie tej wytrzymałości jest jeszcze niemożliwe do określenia. Poza tym wiadomo, że bardzo często wstrząsy nie są poprzedzane wcześniejszymi odznaczeniami.”

Radziecki sejsmolog — A. N. Siemionow w 1969 roku zaobserwował, że trzęsienie ziemi poprzedza zmianna stosunku prędkości rozchodzenia się poprzecznych i podłużnych fal sejsmicznych. Podłużne fale w normalnych warunkach dochodzą do sejsmografów szybciej od fal poprzecznych. Jednakże przed wstrząsem różnica ta się zmniejsza i po jakimś czasie powraca do poprzedniej. Może tak być na kilka tygodni przed trzęsieniem ziemi, a w przypadku trzęsienia ziemi w San Fernando w Kalifornii zjawisko takie wystąpiło na 3,5 roku wcześniej.

Spostrzeżenia A. N. Siemionowa uzupełnili dwaj uczeni amerykańscy: Ch. Scholtz i A. Nur, którzy kontynuowali pracę W. Brace’a. Otóż W. Brace badając próbki skał stwierdził, że przy znacznym obciążeniu, kiedy skała dochodzi kresu swej wytrzymałości, zmienia się jej przewodnictwo elektryczne i prędkość rozchodzenia się drgań. Zjawisko to nazywa się dylatacją i jest wynikiem powstania sieci mikroporowatych pęknięć. Kiedy skała pęka i powstaje w niej sieć mikroskopijnych szczelin, wtedy wypełniają się one powietrzem, które jest złym przewodnikiem drgań i elektryczności. Wtedy właśnie zmienia się stosunek rozchodzenia się szybkości podłużnych i poprzecznych fal sejsmicznych. Następnie mikroszczelinki wypełnia woda i szybkość rozchodzenia się fal powraca do poprzedniej normy. Uczonym już kilka razy na tej podstawie udało się przewidzieć trzęsienie ziemi.

Nie jest to jednak jeszcze system tak skuteczny, aby zawsze udawało się przewidzieć, gdzie i kiedy ziemia zacznie drżeć, gdzie i kiedy nastąpi kataklizm? A więc, czy w ogóle można przewidzieć trzęsienie ziemi? I tu do prac włącza się bionika. Jej odpowiedź jest twierdząca. A wynika ona z uważnych obserwacji przyrody. W przyrodzie istnieją bowiem niezwykle precyzyjne „urządzenia”, którymi dysponują zwierzęta, posiadające bezwzględnie „siuch sejsmiczny”. Rzecz w tym, aby na ich podstawie skonstruować tak precyzyjne aparaty, które działałyby niezawodnie.

Chciałbym tu przypomnieć, że radzieckim uczonym udało się podpatrzeć „infraoch” meduzy, dzięki któremu potrafi ona nieomylnie i dużo wcześniej niż wykazywały to najczulsze barometry przewidzieć nadejście sztormu czy burzy. Na podstawie „przyrodniczej konstrukcji” zbudowali oni aparaty, która znakomicie spełnia swoją rolę, ostrzegając przed burzami.

Wiadomo, że trzęsienia ziemi poprzedza bardzo dużo anormalnych zjawisk. Na przykład w wodzie pojawiają się pęcherzyki gazu i obniżają się poziomy wody gruntowej. To zjawisko m. in. szczególnie pilnie obserwują Chińczycy. Wiadomo, że w wodzie pojawia się radon, zmienia się przewodnictwo elektryczne skał oraz natężenie pola magnetycznego. Następuje deformacja powierzchni ziemi oraz seria mikrowstrząsów. Wiadomo również, że te wszystkie objawy, bardzo często trudno do wykrycia przez człowieka nie posiadającego specjalnej aparatury, są dostrzegane przez zwierzęta.

Biologowie dawno już np. zaobserwowali, że nad brzegami oceanów przed trzęsieniem ziemi pojawiają się ryby głębinowe. Profesor tokijskiego uniwersytetu Jasuo Suehiro na tej podstawie stworzył hipotezę, według której ryby te wyczuwają zbliżające trzęsienie dna oceanicznego. Nie był jednak do końca tego pewien, aż w listopadzie 1963 roku na jednej z wysp w pobliżu Tokio rybacy złowili nie znaną rybę głębinową sześciometrowej długości. Tokijska telewizja zaproponowała japońskiemu uczonemu przeprowadzenie sprawozdania telewizyjnego z tej wyspy. Ponieważ nie dysponował czasem, odmówił, ale w rozmowie z przedstawicielem tokijskiej telewizji zażartował, że należy tam spodziewać się trzęsienia ziemi. Działając na ten temat nie żartując, gdyż istotnie w dwa dni później było tam trzęsienie ziemi. Szuka obecnie dalszych dowodów na potwierdzenie swej hipotezy.

Bionicy uważają jednak, że rzecz nie w tym, aby tylko obserwować zachowanie zwierząt poprzedzające trzęsienie ziemi, ale aby zbadać mechanizmy, na podstawie których zwierzęta widzą, że nadejdzie kataklizm. Bionikom udało się na przykład ustalić, że wodne chrząszcze swoimi włoskami czuciowymi odbierają falowanie wody przy wysokości fali wynoszącej 0,00000004 mm. Szarańcza natomiast odczuwa drgania mechaniczne o amplitudzie równej średnicy atomu wodoru. Natomiast pasikonik „Tettigonia” odczuwa ruchy gleby przenoszone przez rośliny o amplitudzie równej... połowie średnicy atomu wodoru. Są to już wielkości wręcz niewyobrażalne. Ale według wszelkiego prawdopodobieństwa pasikoniki „Tettigonia” skaczące sobie po łąkach i polach Europy Wschodniej odczuły trzęsienie ziemi, jakie 28 lipca 1976 roku miało miejsce w Chinach.

Cała trudność polega na tym, jak te niezwykle czułe „aparaty” stworzone przez przyrodę odtworzyć w metalu i wykorzystać dla dobra ludzkości. Bionicy są optymistami. Jeśli udało się z „infraochem” meduzy, to czemu nie ma się udać np. z pasikonikami? Tym bardziej, że nie należy wykluczyć możliwości poznania innych „instrumentów”, którymi posługują się zwierzęta przewidujące różne kataklizmy.

Nie czekając jednak na pomoc bioników, sejsmology prowadzą nieustanne badania naukowe, mające na celu wcześniejsze ostrzeżenie ludzi przed trzęsieniem ziemi.

BEZ LITOŚCI DLA FAWORYTÓW

kilka minut tańczył sobie bezkarnie wśród grona hosstes. Drugi incydent był już ponury. Rekordzista świata w skoku wzwyż **Dwight Stones**, który — jak wiadomo walczył o medal olimpijski przegrał z **Jackiem Wszolą**, zadowolając się tylko brązem — miał nieścisłonie przyznać się komuś, że nie darzy sympatią francuskich Kanadyjczyków. Na chwilę przed uroczystością dekoracji olimpijskimi medalami został ostrzeżony przez policję, że jakiś zamachowiec ma zamiar strzelać do brązowego medalisty. W czasie walki eliminacyjnej publiczność kanadyjska zorganizowała amerykańskiemu skoczkowi „kocią muzykę”, przeszkadzając mu w skokach. **Dwight Stones** jakos sobie z publicznością poradził, ale na chwilę przed dekoracją musiał podjąć męską decyzję. Postanowił mimo ostrzeżenia wejść na „pudło”, ale przynajmniej później, że był to najtrudniejszy moment w jego życiu.

Był jeszcze inny incydent, tym razem techniczny. Jak wiadomo znicz olimpijski w Kanadzie był zapalany za pośrednictwem satelity. Zastanawiano się więc: czy jest to ten sam olimpijski płomień? Niewątpliwie nie. Ale też dwukrotnie nie, gdyż w czasie nocnej burzy nad Montrealem... znicz zgasł i nie palił się przynajmniej przez kilka minut. Zauważało to służba porządkowa i można przypuszczać, że tym razem znicz olimpijski zapalono już tylko przy pomocy... zapalnika. Były więc to podwójnie nie olimpijski płomień.

KOMPLIKACJE

Były też i komplikacje innej natury. Przede wszystkim politycznej. Zaczęło się od znanej historii ze sprzeciwem Kanady wobec używania przez ekipę Tajwanu miana Republiki Chin. Przeciargi trwały dość długo, w końcu ekipa Tajwanu wycofała się z montrealskich Igrzysk. Wycofała się też z XXI Igrzysk Olimpijskich lub nie wzięło w nich udziału w sumie 30 państw, głównie afrykańskich i azjatyckich. Było to tym trochę zamieszania, bo nie które — jak na przykład Egipt — nie uczestniczyły w uroczystości otwarcia Olimpiady, ale przystąpiły do pierwszych konkurencji i wycofały się już w trakcie walk.

Oficjalnie pretekstem do wycofania się z XXI Igrzysk Olimpijskich był protest przeciw uczestnictwu Nowej Zelandii, której drużyna rugby odbyła tournée po RPA. Kraje afrykańskie domagały się usunięcia z Montrealu ekipy Nowej Zelandii, w konsekwencji ustąpiły same. Ale istotnie jest to demonstracja polityczna krajów afrykańskich nieco innej natury. Kraje te grożą, że mogą w najbliższej przyszłości utworzyć własny, separatystyczny komitet olimpijski i zorganizować własne, odrębne igrzyska olimpijskie. Taką sugestię — mówi się w kołach dziennikarskich — wysuwają ponoć Chiny.

Międzynarodowy Komitet Olimpijski został więc postawiony wobec niezwykle trudnej i skomplikowanej sytuacji. Po pierwsze — jak zareagować wobec protestu państw afrykańskich i azjatyckich? Wykluczyć je z MKOl? Można. Są ku temu powody, ale wtedy otwiera się możliwość dla rozbiicia ruchu olimpijskiego. Po drugie — co zrobić z Tajwanem i ChRL? Chińska Republika Ludowa zgłosiła oficjalnie akces do MKOl, ale pod warunkiem,

olimpijskie obiekty nieże się na tym interesie obwołili i to nie zawsze najprostszymi i najczystszyimi metodami. Przewodnicząc Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego — **lord Killanin** stwierdził na konferencji prasowej, że organizatorzy XXII Olimpiady w Moskwie chcą zamknąć wydatki w granicach jednej piątej wydatków kanadyjskich. Zdaniem lorda Killanina jest to zupełnie możliwe.

Ale MKOl ma jeszcze jeden problem do rozstrzygnięcia. Obecnie z propozycją zorganizowania kolejnych igrzysk olimpijskich w 1984 roku wystąpił Teheran i Los Angeles. Z kontrpropozycją natomiast wystąpiła Grecja. Zdaniem rządu greckiego wszystkie olimpiady ery nowożytnej powinny rozgrywać się wyłącznie w Grecji i ograniczyć się tylko do konkurencji lekkoatletycznych.

XXI IGRZYSKA

były zaskoczeniem dla świata sportowego. Przede wszystkim dlatego, że w łeb wzięły liczne prognozy. Komentatorzy podkreślają, że jeśli jeszcze do XX Igrzysk Olimpijskich w Monachium można było przewidywać ze znaczną dokładnością, kto i w jakiej dziedzinie otrzyma medal, to już w Montrealu stało się to niemożliwe. Największym jednak zaskoczeniem był ogromny sukces **NRD**.

Zarówno w ilości medali, jak i w punktacji pierwsze miejsce zajął **Związek Radziecki**. Na drugim miejscu uplasowała się **Niemiecka Republika Demokratyczna**, zdobywając 40 medali złotych, 25 srebrnych i 24 brązowe. W sumie **ZSRR** zdobył 125 medali wszystkich kolorów, **USA** — 94, **NRD** — 89, **RFA** — 38. W dalszej kolejności idą: **Japonia** — 25 medali, w tym 9 złotych, **Polska** — 25 medali, w tym 8 złotych i **Bulgaria** 24 medale, w tym 7 złotych. Był to niewątpliwie sukces państw socjalistycznych.

Fakt ten zauważyła prasa zachodnia. „Le Monde” narzekał, że trzeba było czekać aż 10 dni, aby w Montrealu rozległa się Marsylianka. Francuzi zdobyli tylko dwa złote medale. Organ francuskich komunistów — „L'Humanite” poddał ostrej krytyce sport we Francji, wysuwając jednocześnie program politycznych przemian. „Le Monde” nazwał **NRD** „współczesną Spartą”. Sukces krajów socjalistycznych wywołał reakcje prasy zachodniej. Na przykład **Robert Faehet** w „Washington Post” nie bez słusności uważa, że „Wschodni Europejczycy są zdania, że ich sukcesy w sporcie pokazują światu, że ich styl życia jest lepszy”. Ale 13 medali zdobyła też **Kuba**, w tym 6 złotych. Problemu tego nie należy więc tylko rozważać w skali geograficznej, chyba że Kubę też zaliczyć się do... Wschodniej Europy.

PRZEGRYWALI FAWORYCI

I to było cechą charakterystyczną XXI Igrzysk Olimpijskich w Montrealu. Nikt chyba nie przypuszczał, że na przykład po rywalizacji w pięcioboju na najwyższym podium stanie reprezentant Polski — **Janusz Gerard Pyciak-Peciak**, tak jak mało kto sądził, że **Jacek Wszola** pokona rekordzistę świata **Dwighta Stonesa**. A przecież tak

piłkarskiej reprezentacji **PRL**. Od dawna wiadomo było, że „stary” skład piłkarzy przestał się już liczyć, czego najlepszym dowodem były przegrane Mistrzostwa Europy i liczne klęski w spotkaniach towarzyskich. Aż dziw bierze, że tak wytrawny sprawozdawca mógł o tym zapomnieć...

Bądźmy jednak sprawiedliwi. Faworyci też wygrali. Wspaniałym przykładem tu może być nasza nieoceniona **Irena Szewińska**. Przeżyliśmy sporo niepokoju w związku z jej eliminacyjnymi stratami, ale w finale jeszcze raz dowiodła swojej światowej klasy. Nie zawiodł **Szwed Anders Gaerderud**, choć o jego rekordzie świata znaczny wkład wniósł **Bronisław Malinowski**, zdobywając srebrny medal. W biegu na 1500 m wygrał faworyt Nowozelandzcy **John Walker**, w trójskoku — sportowiec radziecki **Wiktor Saniejew**.

Przykłady można mnożyć i to zarówno w obie strony: pokazując porażki i zwycięstwa faworytów. Ale były też rywalizacje tragiczne. Na przykład choroba **Grażyny Rabsztyń**, która uniemożliwiła jej równą walkę z konkurentkami. Albo techniczny pech **Józefa Zapędzkiego**, któremu trzykrotnie zaczął się pistolet, uniemożliwiający tym dalszą walkę.

SUKCES

Polski jest bezsporny. Zdobyliśmy największą w historii naszego udziału w olimpiadach ilość medali. I to niewątpliwie cieszy i budzi uczucie dumy i uznania. Osiągnięcia i porażki polskich sportowców w Montrealu zostały już wspomniane przez władze sportowe ocenione i nie ma potrzeby powtarzania tego. Warto jednak zastanowić się nad konsekwencjami.

Zabłzmi to może jak zgrzyt, ale w sporcie, jak zresztą w każdej dziedzinie życia społecznego, entuzjazm nie powinien przesłaniać realistycznego spojrzenia. Ciesząc się z naszego sukcesu w Montrealu nie zapomniamy o dwu sprawach. O pierwsze, że jeżeli będziemy patrzyli na wyniki osiągnięte w Montrealu, to w porównaniu do poprzednich olimpiad są one bezspornym sukcesem, ale jeśli skonfrontujemy je tylko z sukcesem **NRD**, to dostrzeżemy natychmiast ogrom pracy, jaki czeka naszych sportowców i działaczy sportowych.

I o drugiej sprawie nie wolno zapominać. O niebezpieczeństwie „zawrotu głowy od sukcesów”, który niesie w sobie groźbę spocznicia na laurach. Zostają i samozadowolenia. Wielu medalistów z Montrealu podkreślało w swoich wypowiedziach, że już myśli o olimpiadzie w Moskwie. I słusznie, ale nie można poprzestać tylko na myśleniu. Jeśli sięgniemy do historii sportu, to zobaczymy, że często wielkim sukcesom nie towarzyszył dalszy wysiłek nad rozwijaniem tej czy innej dyscypliny sportu. Jaskrawym przykładem może być stagnacja, jaka ma miejsce w piłce nożnej po sukcesie w Mistrzostwach Świata w 1974 roku.

Ktoś „odkrywczo” zauważył, że lepsze jest wrogiem dobrego. Cieszyć się więc z montrealskich sukcesów, ale nie zapominać, że za 4 lata będzie Moskwa.

BOGDA MADEJ

KRZYSZTOF PIEKARZEWSKI

Zasadniczym nurtem najnowszej historii jest rozwój ruchu robotniczego. Kapitalizm powstając, stworzył jednocześnie taką siłę społeczną, która go unicestwia — klasę robotniczą. Ale proces rewolucyjny przeobrażenia, likwidacji kapitalizmu i tworzenie socjalizmu, nie dokonuje się samoczynnie. Klasa robotnicza buduje i doskonali w trakcie swego działania swoją świadomość, kierując się w swoim działaniu programem produkcyjnej siły — partii. Rozwój ruchu robotniczego, działanie partii robotniczych i komunistycznych stanowią Jeden z podstawowych elementów procesu dziejowego. Jednakże ten element, ta nierozłączna część historii, ma swoje dzieje, rozwija się w dół wewnątrznych praw, przezwyciężając sprzeczności i konflikty.

Poznajac historię najnowszej nie można pominąć znaczenia ruchu robotniczego jaki wywiera on na proces społeczny, polityczny i gospodarczy rozwoju naszego świata. Wiosna Ludów, Komuna Paryska, Wielka Socjalistyczna Rewolucja Październikowa, powstanie pierwszego państwa socjalistycznego a następnie systemu socjalistycznego, rosnące znaczenie wspólnoty socjalistycznej, zmiany jakie zachodzą między kapitalizmem a socjalizmem — są to wszystko nie tylko etapy w rozwoju ruchu robotniczego, ale też etapy w rozwoju współczesnego świata. Chcąc zrozumieć procesy, jakie dokonują się w naszym świecie, trzeba zrozumieć również dzieje ruchu robotniczego.

Nakładem „Książki i Wiedzy” ukazał się ostatnio dwutomowy podręcznik: „Międzynarodowy Ruch Robotniczy”. Tom I, obejmujący wiek XIX i początki wieku XX do końca drugiej wojny światowej, do 1945 roku, przygotował zespół pod kierunkiem Ireny Koberdowej w składzie: Wiesław Toporowicz, Jan Tomicki i Fryderyk Zbiniewicz. Tom drugi, obejmujący lata 1945—1975, przygotował zespół pod kierunkiem Jerzego Pawłowicza w składzie: Marian Dyba, Janusz W. Gołębiowski, Stefan Kołto, Norbert Kolomejczyk, Adam Koseski, Teodor Ładyka, Bogusław Mrozek. Nad całością prac czuwał komitet redakcyjny w składzie: Janusz W. Gołębiowski, Irena Koberdowa i Jerzy Pawłowicz. Książka została przygotowana w Instytucie Ruchu Robotniczego Wyższej Szkoły Nauk Społecznych przy KC PZPR.

Książka jest podręcznikiem. Ukazuje ona dzieje ruchu robotniczego w sposób syntetyczny, nie stroniąc jednak od ukazania wewnętrznych sprzeczności, jakie ruch robotniczy musiał przezwyciężyć w swoim rozwoju, nie stroniąc od ukazywania słabości i zahamowań. Autorzy podręcznika ukazują też w formie syntetycznej zarys walki, jaką ruch robotniczy toczył i toczy z reformizmem. Spór ten w zasadzie został rozstrzygnięty przez historię, ale w wielu krajach kapitalistycznych ruch robotniczy nie ma jednej formy, nie koncentruje się tylko wokół partii komunistycznych. Nie wszędzie nawet socjaliści i komuniści występują solidarnie, w jednolitym frontie.

Podręcznik do dziejów międzynarodowego ruchu robotniczego, zaprezentowany nam nakładem „Książki i Wiedzy”, obejmuje pełnych 175 lat, zamykając je syntetyczną informacją na temat XXV Zjazdu KPZR. A więc podręcznik sięga aż w czasy nam najbliższe, starając się dać pełny obraz wszystkich procesów i zjawisk, jakie zachodzą w międzynarodowym ruchu robotniczym. Nie wszystkie wprowadzić sprawy i zjawiska, jakie dzieją się współcześnie zostały w pełni zarysowane, ale to tylko dlatego, że ruch robotniczy rozwija się niezwykle intensywnie i niezwykle szybko. Niezbędny jest więc czas d'la dokonania syntetycznych ocen, niezbędny jest dystans, konfrontacja teoretycznych założeń taktycznych z praktyką. Ale i tak trzeba zapisać na korzyść zespołu autorów, że potrafili zarysować najważniejszych dziejów międzynarodowego ruchu robotniczego doprowadzić do XXV Zjazdu KPZR.

Dążenie do ujęcia w podręczniku jak największej ilości współczesnych problemów spowodowało, że tom drugi „Międzynarodowego Ruchu Robotniczego” nie posiada ani zestawienia skrótów użytych w tekście, ani indeksu nazwisk, tak jak to zrobiono w tomie pierwszym. Trudno to jednak poczytywać za mankament, tym bardziej, że stało się tak że wzięto do ręki w podręczniku możliwość najbliższej aktualnych problemów międzynarodowego ruchu robotniczego.

L. W.

„Międzynarodowy Ruch Robotniczy” — tom I. Wiek XIX — 145, pod redakcją Ireny Koberdowej, tom II. Lata 1945—1975, pod redakcją Jerzego Pawłowicza, „Książka i Wiedza”. Warszawa — 1976 roku, tom I str. 815, tom II str. 855, cena: zł 120,—

Dalszy ciąg ze str. 1

nego przedziału, gdzie przy zamkniętym oknie i zamkniętych drzwiach też siedział tylko jeden człowiek, ale już w butach.

Było bardzo gorąco i nie mogłem zasnąć. Poprzedniej nocy, w Amsterdamie, również nie zmrzyłem oka, żeby obejrzeć Dzielnicę Czerwonych Latarni, i kiedy wyspałem się wreszcie z piętnastokilogramową walizką na dworcu w Stuttgarcie, migotało mi w oczach.

Są tam skrytki jak na stacji Łódź-Fabryczna i chciałem pozbyć się bagażu, ale nie miałem marek, które uruchamiają mechanizm.

Spytałem tragarza, gdzie mogę wymienić dolary, a on powiedział:

- Nigdzie.
- Czemu?
- Bo jest weekend.

Było to pierwsze cenne doświadczenie, którym pragnę się podzielić. Jeśli nie masz lewych marek, nie przyjeżdżaj do Stuttgartu w sobotę i w niedzielę, bo w owe dni wszelkie banki i kantory wymiany zawieszają działalność, a zawód cinkciarza nie zdążył się tu jeszcze wykształcić.

Wyszedłem na ulicę. Muzycy, którzy zaprosili mnie tutaj, grali do niedługo w lokalu TABARIS nieopodal dworca, jednakże w czerwcu mieli przenieść się na cały miesiąc do Ludwigsburga, a był właśnie czerwiec. Ich knajpa w Ludwigsburgu nazywała się MARSTALL KELLER, ale nie miałem pewności, czy tam grają, gdyż TABARIS, punkt kontaktowy, gdzie mieli zostawić mi wiadomość, był jeszcze zamknięty. Odpocząłem trochę przed knajpą, oglądając foty jakiejś międzynarodowej grupy muzycznej, a potem dźwignąłem walizkę i wróciłem na dworzec.

Ludwigsburg jest zaledwie dwadzieścia kilometrów od Stuttgartu i gdzie się tam kolejką podmiejską. Bilet kosztuje tylko trzy marki, ale trzeba je mieć. Zapytałem w kasie, czy przyjmą ode mnie należność w dolarach. Nie przyjmą! To co mam robić? Nie wiem?

Ten pociąg, którym przybyłem z Kolonii, przejeżdżał przez Ludwigsburg, ale się tam nie zatrzymał. Gdyby tak było wysiadłbym oczywiście. Powiedziałem o tym zawiadowcy, pokazując mu na dowód bilet. Sprawdził go skrupulatnie, pokiwając głową i orzekł, że mogę jechać.

— Nikt nie będzie miał pretensji? — zapytałem.

— Nikt.

No to wsiadłem do tej kolejki. W całym wagonie był opórz mnie tylko jeden pasażer, a potem przyszła leciwa konduktorka; sprawdziła gościa i wzięła się do mnie.

Wręczyłem jej bilet i wytuszczyłem sprawę od początku, powołując się na słowa zawiadowcy. Była bardzo zagłębiona. Węde prawa bilet jest nieważny. Muszę płacić!

Proszę uprzejmie. Podatem jej przygotowane wcześniej półtora dolara przekonany, że niemiecka solidność nie pozwoli jej wziąć. Wzięła. Podniosłem mnie to na duchu.

Na stacji w Ludwigsburgu jest oprócz skrytek tradycyjna przechowalnia bagażu. W ten sposób pozbyłem się walizki. Na ulicy zapytałem chłopaka, gdzie jest Marstall Keller. Pokazał mi przystanek autobusowy. Z wiadomych względów powiedziałem, że nie chcę jechać autobusem, wołę się przejść. Nie mógł tego zrozumieć i uparcie tłumaczył, że najlepiej będzie autobusem. Podziękowałem mu jak umiem najgrzeczniej, a potem zaczęli inni chłopaki i dowiedziałem się, że muszę iść cały czas prosto. Trzymając się tej wskazówki dotarłem do kilkunastopiętrowego wieżowca, do którego przylegał ogromny dom towarowy, ten zaś graniczył z pubem i poszukiwaną przeze mnie restauracją Marstall Keller. Zbliżyłem się tam z drżeniem serca, ale obydwa lokale były jeszcze zamknięte, zaś gabłota, w której wiszą zazwyczaj zdjęcia występującego aktualnie zespołu, była pusta, jeśli nie brać pod uwagę informacji, że dancinگی rozpoczynają się o godzinie 20, a kończą o pół do trzeciej w nocy.

Nie wiedziałem więc w dalszym ciągu czy ta lódzka orkiestra w ogóle tutaj gra. Wszedłem do wieżowca z nadzieją, że może jest to hotel i że oni tam mieszkają, okazało się jednak, że jest to zwykły budynek i nikt o nich nie słyszał. Pytałem jeszcze w domu towarowym, zaczęli mnie ludzi na ulicy, nie dowiedziałem się jednak, co to za zespół, jak się nazywa i gdzie mieszka. Dowiedziałem się za to, że lokal Marstall Keller otwierany jest dopiero tuż przed samym dancinگیem. Było dopiero po ósmej, a więc na rozwiązanie zagadki będę musiał czekać około dwunastą godzinę. Chyba, że będę miał szczęście i spotkam ich gdzieś na ulicy.

O dziesiątej słońce zaczęło zdrowo przyplękać i ludzie, którzy tysiącami wylegli z domów, byli ubrani lekko — w bluzki i koszulki z krótkim rękawem, ja natomiast, przybysząc z chłodnego Amsterdamu, miałem na sobie marynarkę i płaszcz, i najwyraźniej rzucałem się w oczy; czulem podejrzliwie spojrzenia i tak dalej.

Przesiedziałem pół godziny na ławce w parku, powstrzymując się przed

zasięgnięciem. O dziesiątej wszedłem do kawiarni, z żelaznym postanowieniem, że spędzę tu przynajmniej godzinę. Ledwo jednak zjadłem kanapkę z serem i wypłem herbatę, wyrosła przede mną kelnerka i spytała:

- Co jeszcze?
- Powiedziałem?
- Nic.

Wzruszyła ramionami i odeszła, żeby w dwie minuty później, mocno naburmuszona, ponowić pytanie.

Zamówiłem kolejną herbatę. Lokal był kompletnie pusty i nie wydawało mi się, abym mógł komukolwiek przeszkadzać, kelnerka jednak stała nade mną jak pokutnica ponagająca mnie wzrokiem, i jak tylko wypłem, zaatakowała mnie znowu:

- Co jeszcze?
- Zapłać.
- Osiem marek.

Podatem jej trzy dolary i pięćdziesiąt centów. Zrobiła minę jakbym jej wręczył skorpioną.

— To jest niemiecki lokal — powiedziała. — Proszę o niemieckie pieniądze.

Dodałem jej pięćdziesiąt centów i wyszedłem, głowiąc się, jak tu wymienić dolary. Ponieważ żaden z zagadniętych przeze mnie Niemców nie był w stanie udzielić mi informacji, (twierdził z uporem, że w sobotę wszelkie banki i kantory są zamknięte) podszedłem do amerykańskiego żołnierza.

- Spróbuj w biurze turystycznym
- powiedział.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

DZIEŃ W LUDWIGSBURGU



Foto: Archiwum

- Otwarte? — spytałem.
- No pewnie.
- A gdzie to jest?
- Przy rynku.

Odszukałem to biuro i rzeczywiście było otwarte. Ale kasa walutowa była zamknięta.

— Madam! — syknąłem do urzędniczki, robiąc tragiczną minę. — Albo mi pani wymieni dwadzieścia dolarów albo zaraz popelnię samobójstwo.

— Nie mogę panu wymienić — powiedziała.

— To co mam zrobić? — zapytałem.

— Nie mam na obiad, nie mam na hotel, a dolar tu wszystkim śmierdzi...

— Niech pan idzie do MARSTALL KELLER, wymienia panu w domu towarowym na piętrze.

— Byłem tam — powiedziałem zdziwiony.

— I co?

— Ludzie mówili, że nie można wymienić.

— Och, wie pan, jacy są ludzie...

Podziękowałem jej i wróciłem do MARSTALL KELLER. Wjechałem na piętro ruchomymi schodami i po licznych konsultacjach znalazłem wreszcie ten upragniony, jedyny tego dnia punkt wymiany.

Następnie, żeby przezwyciężyć ko-

ściółną ofensywę sennosci, wszedłem do lokalu ROMA, który jest na piętrze tego samego gmachu, i zamówiłem kawę. Mając marki, czulem się dużo pewniej. Usiadłem na tarasie, skąd rozciągał się widok na centralny plac Ludwigsburga. Zdjąłem płaszcz i powiesiłem go na poręczu krzesła. Postanowiłem zabić tu z dwie godziny, łącząc przyjemne z pożytecznym, to znaczy odpocząć i obserwować jednocześnie plac, na którym mógł lada chwila pokazać się ktoś z orkiestry. Taras tonął w cieniu, a plac stał w ostrym słońcu i wpatrywanie się w tłum przez rozdzierane powietrze było mimo wszystko męczące. Spróbuj tak bez przerwy wpatrywać się w ludzkie mrowisko, kiedy słońce wchodzi w zenit, to zobaczysz, jak cię rozbola skronie i oczy. Na dodatek wkołowało na plac parę samochodów, których przednie szyby zaczęły odbijać słońce prosto w moją twarz. Zmieniłem stolik, ale słońce też zmieniło położenie. Przesunąłem się w drugi koniec tarasu, ale podjechał kolejny samochód i ustawił się tak, że znowu strzelił mi w oczy słonecznym refleksiem.

Około dwunastej wróciłem na ulicę i wszedłem na ten plac, gdzie pośrodku stał pomnik, a po bokach dwa kościoły. W jednym odbywało się nabożeństwo, a w drugim rodzice przysięgli do chrztu. W trakcie reporterskich wędrowek po świecie nauczyłem się odpytywać właśnie w kościołach. Wam też to polecam. W

— Nie.

— A może któryś z kolegów słyszał?

— Pan zaczeka... — Podszedł do swoich, pogadał z nimi, a potem wrócił i powiedział: — Przykro mi, ale nikt o nich nie słyszał.

Myślałem, że Ludwigsburg jest małym miasteczkiem i ledwo wyjdę z dworca, spotkam ich na ulicy. Okazało się jednak, że Ludwigsburg jest całkiem dużym miastem i zacząłem tracić nadzieję. Byłem spocyny, zziębnięty, skołowany. Pod palcami wyczuwałem zarost. Zdjąłem płaszcz i marynarkę, zrolowałem i przerzuciłem przez ramię. Przez chwilę namyślałem się, czy nie wziąć hotelu, co kosztowałoby minimum trzydzieści dolarów (samobójstwo), potem smulem mgliste projekty, żeby pojechać do Stuttgartu i sprawdzić, czy nie ma dla mnie jakiejś wiadomości w TABARISIE, który powinien już być otwarty. Wreszcie ukołowany się myśl, aby od razu wracać do Polski. Nie to, żebym tak bardzo chciał od razu wracać, ale w pociągu mógłbym się przespać.

Mógłbym także przespać się w parku, gdzie drzewał przeciw w najlepszym w cieniu drzew wielu Murzynów, Włochów i Azjatów. W Polsce postąpiłbym tak bez wahania, nie przejmując się, że zostanie rozpoznany, jednakże tu, w Niemczech, chciałem ocalić godność.

— Jest tu gdzieś zakład kąpielowy — zapytałem przyjemnie wyglądającego staruszka.

— Zakład? — Uniósł brwi.

— Tak.

— Kąpielowy?

— Aha.

— Nie ma.

— A fryzjer?

— Jest, ale zamknięty.

— To dziękuję.

— Proszę — powiedział i uśmiechnął się promiennie. Potem jeszcze zapytał: — Pan jest z Anglii?

— Nie — zaprzeczyłem. — Z Po-

land.

— A, ja! ja! — potrząsnął siwymi włosami.

— Z Holland, z Holland.

Wielokrotnie prowadziłem za granicę takie dialogi. Zazwyczaj prostowałem, teraz nie. Wlokłem się z tłumem wychlastanymi słońcem ulicami. Posiedziłem trochę na śródmiejskim skwerku, ponownie szedłem do kościoła, gdzie w dalszym ciągu chór rodziców występował psalmy, a dzieciaki uganiały się między ławkami. Jeszcze raz zająrzałem do domu towarowego MARSTALL KELLER, zabijając pół godziny w porno sklepie, a drugie pół w lokalu ROMA. Wpatrywałem się w plac i w prace do niego, rojne uliczki. Wpatrywałem się z takim uporem, że o ile z początku dwójko mi się w oczach, teraz wszystko widziałem potrójnie.

Wszedłem to toalety i umyłem zimną wodą twarz. Wróciłem na ulicę i powlokłem się w stronę dworca z zamiarem wyciągnięcia z walizki proszków od bólu głowy. Po drodze napotykało się kino, w którym szedł PRZELOT NAD GNIAZDEM KUKULKI. Iść? Nie iść? Bilet kosztował dziesięć marek, ale sprawa była nęca: miękki fotel, chłód, mrok, no i film, który dostał w końcu sto trzydzieści, czy sto czterdzieści Oskarów. No i mógłbym wykreślić z życia dwie i pół godziny...

Poszedłem. To znaczy — wszedłem. Byłem jedną z czterech osób na sali, a film był w wersji niemieckiej. Sen raz po raz zaciskał mi powieki, ale świadomość, że obuję z arcydziełem, które w dodatku kosztowało dziesięć marek, kazała mi przezwyciężyć zmęczenie.

Kiedy wyszedłem z kina, było już wpół do szóstej. Do rozwiązania zagadki pozostało niewiele ponad dwie godziny. Podniecało mnie to i przerażało. Układałem w myślach słowa powitania. Jeżeli — na szczęście! — spotkam ich, powiem: — Dobry wieczór, spać! Z miejsca spać! — Wybrałem sobie wygodny pokój, łazienkę, łóżko... Przewzięcie spełnienia i obawa niemożności... Co będzie jeśli ich nie spotkam?

O siódmej zjadłem w samoobsługowym barze hamburgera, a później powlokłem się nogą za nogą w stronę lokalu. Był już otwarty, ale kiedy wszedłem do środka, podium dla orkiestry świeciło pustką.

— Grają tu dzisiaj? — zapytałem kelnera.

— Grają.

— Jak nazywa się zespół?

— INTERCITY-MAGIC.

Jakoś obco mi to zabrzmiało.

— Zna pan może kierownika?

— No pewnie.

— Polak?

— Nie, Jugosłowianin.

— Niemożliwe — powiedziałem. — Jak on się nazywa?

— Ra-Ra.

— Jak?

— Ra-ra. Cedomir Radaković.

Wróciłem na ulicę. Miałem zamiar iść prosto na dworzec, ale zobaczyłem, że jakiś człowiek otwiera gabłotę i przysypła pinełkami reklamowe foty muzyków. INTERCITY-MAGIC. Najpierw piosenkarka, której twarz była mi nie znana, później perkusista bandlider, który niewątpliwie urodził się nad Adriatykiem, wreszcie... trzy swojackie gęby z Łodzi, które sprawiły, że spokojnie wróciłem do lokalu i powiedziałem do kelnera: — Piwo!

U PRZYJACIOŁ ZSRR

W ub. roku w Związku Radzieckim ukazało się ponad 88 tys. tytułów książek o łącznym nakładzie ponad 1,8 miliarda egzemplarzy. Do księgarń trafiło 88 proc. ogólnego nakładu a pozostałe 12 proc. otrzymały biblioteki.

Ponad 75 proc. mieszkańców ZSRR sięga systematycznie po książki. Nic więc dziwnego, że mimo wysokich nakładów szybko znikają one z półek księgarskich. O wielkim zapotrzebowaniu na książki świadczy również fakt, że choć prawie każda rodzina ma swą własną, domową bibliotekę, co roku biblioteki w Kraju Rad wyprzedzają ok. 4 miliardów tomów.

A jak się przedstawia struktura planów wydawniczych? Otóż w minionej pięciolatce na literaturę piękną i książki dla dzieci i młodzieży przeznaczono 37,6 proc. ogólnych nakładów, ponad 40 proc. stanowiły podręczniki dla szkół i uczelni różnego typu, a resztę książki z dziedziny różnych nauk, w tym społeczno-politycznych.

Ilości te oczywiście nie zaspokajają zapotrzebowania, choć z roku na rok wzrastają nakłady. Na przykład jeśli w ostatniej pięciolatce wydano 2 miliardy 270 milionów egzemplarzy literatury pięknej i dziecięcej, to plany obecnego pięcioletnia przewidują już przeszło 3 miliardy publikacji z tej dziedziny. W tegorocznych planach uwzględniono m. in. wznowienie utworów klasycznej i współczesnej literatury rosyjskiej, radzieckiej i światowej w 500 tys. do miliona egzemplarzy. W opracowaniu jest wielka seria wydawnicza „Biblioteka klasyki”, której pierwsze tomy ukazały się w 1977 roku, po zakończeniu edycji 200-tomowej „Biblioteki Literatury Światowej”, poszczególne tomy tego ostatniego cyklu wydano w nakładzie 300 tysięcy egzemplarzy.

Te poczynania zaspokoją na pewno w wielkim stopniu zainteresowania różnych środowisk czytelniczych. Warto przypomnieć, że w Związku Radzieckim utwory wybitnych twórców literatury światowej: Dantego, Cervantesa, Szekspira, Woltera, Byrona, Goethego, Balzaka, Stendhala, Zola, Dickensa, Twaina, wydawane są w nakładach wielokrotnie przewyższających wysokości nakładów w ojczystych krajach tych pisarzy. Tylko w latach, jakie upłynęły od zakończenia II wojny światowej, ukazało się w Związku Radzieckim ponad 7 tysięcy tytułów utworów pisarzy amerykańskich, po ok. 4,5 tysiąca tytułów książek pisarzy angielskich i francuskich. Ogólny nakład tych wydawnictw przewyższył liczbę 600 milionów egzemplarzy. Tylko w bież. roku zostanie opublikowanych w ZSRR ok. 1,5 tys. książek zagranicznych autorów przetłumaczonych z przeszło 40 języków.

NRD

Na zakończenie sezonu teatru w stolicy NRD wystąpiły z premierami, wśród których na uwagę zasługuje przygotowany przez Volksbühne spektakl „Bauern” („Chłopi”) Heinera Muellera w reżyserii Fritza Marquarda.

Akcja sztuki rozgrywa się na wsi w latach 1946—1960. Obszarnicy zostali wywieszani, bezrolni chłopcy i przesiedleńcy otrzymują ziemię od państwa. Mueller ukazuje rozwój świadomości chłopów ze wszystkimi trudnościami i oporami. Sztuka wzbudza zainteresowanie, autorowi udało się stworzyć, pełną humoru mowę chłopską przetransponowaną na równie szorstki, a zarazem poetycki język literacki. Aktorzy zwracają się często wprost do publiczności. Bawią, zmuszają widza do przemyśleń. Twórcą interesującej oprawy scenograficznej jest Pieter Hein.

Recenzenci wyrażają się z uznaniem o spektaklu, chwaliąc zespół i autora sztuki.



W związku z 75 rocznicą urodzin prof. Waltera Felsensteina w Komische Oper w Berlinie, teatrze, którym przez długie lata kierował, została otwarta wystawa poświęcona życiu i twórczości tego artysty. Zgromadzono na niej fotokopie dokumentów, projekty kostiumów i dekoracji realizowanych przez niego przedstawień, szkice i notatki twórcy.

Televizja NRD emitowała film „Walter Felsenstein”, w którym artysta ukazany został podczas próby opery Mozarta „Don Juan” przed 10 laty.

JESZCZE RAZ O „TRÓJKĄCIE DIABŁA”

Federalna Agencja Lotnicza USA (FAA) określiła „bzdurą” rozpowszechniane informacje, jakoby samoloty, które zaginęły w rejonie „trójkąta bermudzkiego” padły ofiarą tajemniczych czy nadprzyrodzonych sił. „Bermudzki trójkąt”, nazywany często „trójkątem diabła” czy „morzem widm”, zajmuje powierzchnię 200 tys. mil kwadratowych, niedaleko od południowo-wschodnich wybrzeży USA, zamknięty półwyspem Florydy i wyspą Puerto Rico w podstawie trójkąta i Wyspami Bermudzkimi u jego wierzchołka. Na tym obszarze zaginęło ponad 100 statków i samolotów, w większości w 1945 roku.

Sądząc z fali artykułów w gazetach i ostatnich bestsellerów — oświadczyła FAA — przelot nad tym mitycznym obszarem podobny jest do podróży nad piekłem. Niektórzy autorzy artykułów sugerują, że zniknięcie jest dziełem złowrogich przybyszów podróżujących na „latających talerzach”, lub mistycznych źródeł energii, promieniującej z zatopionej Atlantydy. Inni w ogóle mówią o jakiejś rozwiniętej cywilizacji, kryjącej się w nie zbadanych głębinach Atlantyku, która ponosi systematycznie porażki z powierzchni morza ludzi i maszyny dla swoich celów naukowych.

FAA oświadczyła następnie, że jej specjaliści ze służby dyspozycyjnej oraz służby bezpieczeństwa lotów dopuszczają wiele specyficznych problemów związanych z lotami w rejonie „trójkąta bermudzkiego” i uważają za humorystyczną myśl o działaniu w „trójkącie” tajemniczych sił. Specjaliści FAA uważają, iż katastrofy lotnicze w tym rejonie można wyjaśnić faktami czysto ziemskimi: pogoda, brakiem doświadczenia w lotach oceanicznych lub niedoskonałością przyrządów nawigacyjnych. Wskazują na niestanne zmiany pogody w tych szerokościach w ogóle, a w szczególności na częste huragany, których siła jest wystarczająca do złamania skrzydeł każdego samolotu. Pilot zupełnie nieoczekiwanie może się znaleźć w strefie takiego lokalnego huraganu, kryjącego się pod niewinnie wyglądającą chmurką deszczową.

DECYDUJĄ KWALIFIKACJE LOTNIKA

Rejon ten jest także charakterystyczny ze względu na silne prądy oceaniczne, na przykład Golfstrom, które mogą unosić szczątki i ofiary z miejsca katastrofy o wiele mil dalej, co utrudnia akcję ratunkowo-poszukiwawczą i wyjaśnia modne określenie „zniknęli bez śladu”.

Ponadto, zwraca uwagę FAA, nad obszarem „trójkąta bermudzkiego” latają często samoloty pilotowane przez lotników nie mających doświadczenia w lotach nad oceanem. Niedoświadczony pilot może łatwo stracić orientację, w szczególności w dzień pochmurny, kiedy szara woda zlewa się z szarym niebem i ginie linia horyzontu.

Podkreślając znaczenie doświadczenia lotniczego, FAA podaje przykład kompanii „Choke Airliner”, której samoloty-amfibie codziennie wykonują regularne loty pasażerskie nad „trójkątem bermudzki” nieprzerwanie od 1919 roku. Do dnia dzisiejszego samolotom kompanii nie wydarzyła się ani katastrofa, ani awaria, ani nie było tajemniczych zniknięć, ani nie wyjaśnionych defektów silnika, elektrycznych systemów czy kompasów. Po prostu dzień po dniu loty wykonują piloci doskonale zorientowani w warunkach pogody w tym rejonie.

JEDYNA AWARIA

Mówiąc o incydentach zdarzających się na tym obszarze „FAA-World”, dziennik wydawany przez agencję — podaje historię dwusilnikowego samolotu „Piper-Axtec”. W informacjach prasowych jego zniknięcie nazwano tajemniczym i złowieszczym. Prawie rok później na brzeg wyrzuciły fale zbiornik na paliwo, umieszczony na końcu skrzydła samolotu. Śledztwo wykazało, że samolot wpadł w silny prąd burzowy, który oderwał zbiornik od skrzydła i zablokował prawą lotkę w dolnym położeniu. W konsekwencji maszyna wymknęła się spod kontroli pilota.

Jedynym samolotem, który uległ awarii nad obszarem „trójkąta bermudzkiego” na przestrzeni ostatniego dziesięciolecia, twierdzi FAA, był samolot „DC-9” kompanii „Overseas National”, który rozbił się na jednej z wysp; ofiar w ludziach nie było. Inspektorzy FAA ustalili, że samolot nie miał już paliwa. Dowodzi to, że nad obszarem trójkąta bermudzkiego, podobnie zresztą jak i nad polami kurkurdy, samoloty nie mogą latać z pustym bakiem...

JERZY CZECH

SPORT W POKOJOWEJ RYWALIZACJI WAKACYJNE PRZERWY W ROKOWANIACH PRZYJACIELSKIE ROZMOWY

Odespaliśmy już nocne, spędzone na oglądaniu programów telewizyjnych z olimpiady, ale długo pozostanie w nas uczucie zadowolenia z sukcesów polskich sportowców. Nasz medalowy rekord olimpijski a bardziej jeszcze ambitna postawa całej ekipy, spotykają się z wysoką oceną także poza granicami kraju. Jak powiedział na spotkaniu z olimpijczykami Piotr Jaroszewicz: „nie ma jest znowu w świecie o polskim sporcie, o Polsce, o naszym wszechstronnym, społecznym, ekonomicznym i kulturalnym dorobku”.

W dobie pokojowego współzawodnictwa między krajami o odmiennych ustrojach jedna z jego dziedzin jest również sport. Montrealskie igrzyska dostarczyły więc tematu do wielu rozważań bramy zachodniej o ich bilansie. Podkreśla się dominację krajów Europy wschodniej, potwierdzona i ilością zdobytych medali i nieoficjalna punktacja olimpiady. Pisze się o „uderzającej” przewadze w niektórych dyscyplinach państw socjalistycznych i upadku wielu dziedzin w Europie zachodniej oraz Ameryce Łacińskiej.

„Wschodni Europejczycy są zdania — czytamy w komentarzu „Washing-

ton Post” — że sukcesy w sporcie pokazują światu, iż ich styl życia jest lepszy”. Autor nawołuje świat zachodni do podjęcia decyzji, które pozwoliłyby przeciwstawić się tej sytuacji.

„International Herald Tribune” ubolewa słowami: „wyniki montrealskich igrzysk nie pozostawiają żadnej wątpliwości, że sport Europy zachodniej nie może już współzawodniczyć ze sportem wschodniej części kontynentu”.

„Le Monde” przypomina, że trzeba było czekać pełnych 10 dni, zanim na stadionie w Montrealu zasnano Marsyljanke Oczywiście to dowód — zdaniem dziennika — jak głęboko upadł francuski sport.

Piszemy o tym wszystkim dlatego, aby zauważyć, że we współczesnym świecie, kiedy punkt ciężkości przenosi się na pokójowa rywalizacja, również sport ma wymiar szerszy. Ten jego swoisty „awans” powinien nas wszystkich cieszyć. Jakże świat byłby szczęśliwy, gdyby jedynymi płaszczyznami współzawodnictwa były gospodarka, oświata, kultura, sport...

Niestety, dziś jeszcze wciąż trwa również w dziedzinie zbrojeń. Poha-

Dziesięć razy do roku do Hetton-Garden w Londynie zjeżdża elita „świata diamentów”. W ciągu tygodnia „ogledzin”, potencjalni kupcy zapoznają się z aktualną sytuacją na rynku handlu brylantami. Każdy kupiec otrzymuje do rąk kasetkę z diamentami, które ogląda w kontemplacji i absolutnym odosobnieniu. Tutaj robi się wszystko, żeby kupiec mógł otrzymać do rąk taki diament, jakiego szuka.

Diamenty od wieków otacza atmosfera romantyzmu i tajemniczości. Rzymski historyk Pliniusz już w pierwszym wieku naszej ery wspominał o „najbardziej cennych kamieniach, znanych tylko królom”. Również transakcjom handlowym w Hetton-Garden towarzyszy element rytuału, bowiem przegląd kamieni jest pośrednim etapem między wydobyciem surowych diamentów, a złożonym procesem ich cięcia i szli-

pert z Grahamstown stwierdził, że jest to diament i ocenił go na 500 funtów szterlingów. W owym czasie były to ogromne pieniądze.

W 1869 roku nazwisko Neekirk znowu znalazło się na pierwszych stronach gazet. Za pięćset owiec, dziesięć byków i krowę nabył on od chłopca-pastucha diament czystej wody. Nazwany „Gwiazdą Południowej Afryki”, został sprzedany za 11.200 funtów szterlingów. Od tego czasu rozpoczęła się w Południowej Afryce prawdziwa gorączka diamentowa.

W 1870 roku, kiedy odkryto bogate złoża tych drogocennych kamieni, gorączka diamentowa osiągnęła apogeum. 50 tysięcy poszukiwaczy wytyczyło na tym miejscu swoje działki i tak powstało miasto Kimberley.

W latach trzydziestych odkryto bogate złoża diamentów w innych krajach Afryki: w Zairze (byłe Kongo Belgijskie), Sierra Leone, Ghanie i Angoli. Zair jest obecnie największym w świecie producentem diamentów, chociaż 98 procent wydobycia idzie na cele techniczne. Dzięki energicznej akcji policji, w Zairze niemal zupełnie ustały nielegalne wydobycia diamentów i kontrabanda. Nie udało się rozwiązać tego problemu w Sierra Leone. Według niektó-

GWIAZDA Z SIERRA LEONE

fowania dla celów jubilerskich lub przemysłowych.

Rzymianie sprowadzali diamenty z Indii, które przez całe stulecia były światowym centrum wydobycia tych drogocennych kamieni. Właśnie tam, w 1638 roku, znaleziono słynny diament „Hope” („Nadzieja”), który przynosił same nieszczęścia wszystkim jego posiadaczom. Arcyślawny „KOH-I-NOOR” („Góra Światła”, 108,9 karata), który do dziś zdobi koronę angielskich królów, został, jak głosi fama, skradziony z hinduskiej świątyni przez szacha perskiego Nadiroma, kiedy w 1739 roku rozgrał Delhi.

Później diamenty odkryto w Południowej Ameryce, przede wszystkim w Brazylii, która też stała się głównym światowym dostawcą diamentów. Jednakże w ciągu ostatnich stu lat produkcję diamentów zmonopolizowała Afryka, i pierwsze miejsce pod tym względem (w świecie kapitalistycznym) zajmuje, przynajmniej na razie, Republika Południowej Afryki. Niewykluczone, iż palmę pierwszeństwa w produkcji diamentów przejął niebawem młode, niepodległe państwo Czarna Afryki.

W 1866 roku farmer z Południowej Afryki, van Neekirk, dostał w prezencie od 15-letniego syna sąsiadów mały, przezroczysty kamyczek, znaleziony nad brzegiem rzeki Oranje. Eks-

rych ocen, szmugluje się z tego kraju diamenty na sumę około 10 milionów funtów szterlingów rocznie.

W 1972 roku, właśnie w Sierra Leone, znaleziono diament trzeci co do wielkości w świecie, o wadze 200 gramów, a ściślej — 999 karatów. Nazwany „Gwiazdą Sierra Leone”, przewieziono do Hetton-Garden i sprzedano pewnemu Amerykaninowi za milion funtów szterlingów. Największy ze znanych dotąd diamentów — „Coolinan” — znaleziono w południowo-afrykańskiej kopalni. Ważył 3106 karatów! Podobnie jak „Gwiazdę Sierra Leone”, rozcięto go na kilka dużych brylantów. Operację „rozszczepienia” tego giganta przeprowadził jubiler Josef Ancher z Amsterdamu. Sześć miesięcy uważnie studiował diament i nie mógł się zdecydować na cięcie. Wreszcie, podjąwszy tę trudną decyzję, Ancher precyzyjnie ustawił duto i uderzył. Efekt tego uderzenia był nieoczekiwany — pękła klinga duto! Ancher, sądząc, że to diament rozciął się w kawałki — stracił przytomność. Dopiero po upływie dłuższego czasu, podczas drugiej próby, kamień rozpadł się tak, jak należało. Po tym wydarzeniu Ancher rok nie brał duto do ręki.

(J. C.)

mować go, odwrócić tendencje i zmierzać krok po kroku, ale konsekwentnie w kierunku całkowitego i powszechnego rozbrojenia — oto do czego dąży kraj socjalistyczny. W różnych gremiach nad różnymi drogami rozbrojenia toczy się na szczęście międzynarodowe dyskusje. O dwóch z nich chcieliśmy przypomnieć w dzisiejszym komentarzu. Okazuje się, że temu dążeń wakacyjne przerwy w rokowaniach, zamknięte automatycznie koleiny ich etap.

Wiedeńskie rokowania 19 państw na temat redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie środkowej ze wszelkimi o których pisaliśmy już wielokrotnie, nie należą do łatwych. Również w dziesiątej rundzie rozmów która rozpoczęła się w połowie maja, nie osiągnęło takiego postępu, który mógłby przetrwać postać porozumienia. Jednakże ich obserwatorzy zgodni są w ocenie, że runda ta wwróciła się pracowitością i rzeczowością. W czerwcu wychodząc naprzeciw uwagom krajów zachodnich, że jednym z utrudnień w rokowaniach jest nieznaną wielkość sił zbrojnych po obu stronach w rejonie Europy środkowej — kraje socjalistyczne przedstawiły takie dane, odnoszące się do państw — członków Układu Warszawskiego. Zwróciły się też do państw NATO o odzwągnięcie się i podjęcie na ten temat dyskusji. Unik ze strony państw zachodnich nie pozwolił rozwinąć zagadnienia przed wakacyjną przerwą. Stanie się to z pewnością jesienią.

Złożone są również rokowania radziecko-amerykańskie w sprawie ograniczenia zbrojeń strategicznych (SALT 2), których miejscem jest Genewa. Celem tego etapu rozmów jest przedłożenie tekstu dwustronnego porozumienia, które określi pulas tych zbrojeń po obu stronach oraz zapoczątkuje ich liczebna i jakościowa redukcje. Problemów otwartych, zwłaszcza w tej drugiej kwestii, jest jeszcze wiele. Mimo to panie przekonanie, że rozmowy zmierzają do końcowych decyzji. Przypomnijmy, że właśnie zbrojenia strategiczne są zarazem i najkosztowniejsze i najmniejbezpieczniejsze. Gdyby udało się je ograniczyć i w Stanach Zjednoczonych i Związku Radzieckim — krajach militarnie najpotężniejszych — wynikałoby z tego korzyść dla światowego pokoju. O wadze problemu przypomina nam chociażby sierpniowa rocznica — atomowych dramatów Hiroszamy i Nagasaki z 1945 roku.

...

W kronice przyjacielskich stosunków Polski z jej socjalistycznymi sojusznikami odnotujmy dwa wydarzenia ostatnich dni: rozmowy Edwarda Gierka z Leonidem Breżniewem na Krymie oraz wizytę premiera węgierskiego rządu — Gyöorgy Lazara w Polsce.

W. SŁAWSKI

"LATARNIK"

Na rogu ulicy Stefana Jaracza i Armii Ludowej przed pałacem wyrosły palmy i kaktusy. Pałacyk zamienił się w willę konsula amerykańskiego. Dokonała tego ekipa filmowa. Kręcąc tu zdjęcia do powstającego w Łódzku zespołu filmowym „Profil” filmu telewizyjnego „Latarnik”, osnutego na motywach noweli Henryka Sienkiewicza.

Scenariusz do tego filmu przygotowali Konrad Frejdlch i Zygmunt Skonieczny. Reżyseruje — Zygmunt Skonieczny. Operatorem jest Władysław Nagy. Nad produkcją filmu czuwa Antoni Gniwiewski. Muzykę do filmu skomponował Leszek Orlewicz. W roli Józefa Skawińskiego — latarnika zobaczymy aktora Teatru Nowego w Warszawie, Józefa Pierackiego.

— Skończyliśmy już wszystkie zdjęcia do tego filmu, jakie mogliśmy zrobić w Łodzi — mówi reżyser Zygmunt Skonieczny. — Były to przede wszystkim sceny retrospekcyjne, dotyczące wspomnień bohatera filmu, okresu Powstania Listopadowego. Zrobiliśmy też zdjęcia we wnętrzach. Rozgrywane są w latarni, w willi konsula amerykańskiego, w kościele...

— Z tego można wnosić, że akcja filmu została poszerzona, rozbudowana.

— „Latarnik” Henryka Sienkiewicza, będący lekturą szkolną, stał się dla nas pretekstem do pokazania losów Polaków, którzy znaleźli się na obczyźnie i którzy są nieustannie trapieni tęsknotą za krajem, dla których świat jest piękny, ale to piękno jest inne, gdyż nie jest polskie.

Dłatego filmowa wersja „Latarnika” dzieje się w trzech czasach. Czasem teraźniejszym dla filmu jest podróz bohatera na statku po stracie pracy. W czasie tej podróży Józef Skawiński wspomina to wszystko, co wydarzyło się wtedy, kiedy był latarnikiem, a więc z okresu ostatnich dwu lat przed historią z „Panem Tadeuszem”. Wspomina on również wydarzenia wcześniejsze, to wszystko, co działo się jeszcze w Polsce i później, kiedy poszedł na wygnanie, kiedy opuścił kraj. Chodzi nam o to, aby pokazać, że historia z „Panem Tadeuszem” nie była przypadkiem, że tak musiało się wydarzyć, że tragedia narastała latami.

— Gdzie będziecie kręcić dalsze zdjęcia? — Już wyjeżdżamy do Jastarni, a później do Swinoujścia. Po powrocie znad morza będziemy jeszcze kręcić niektóre sceny, rozgrywane się w wiosce panamskiej. Taką wioskę powstanie pod Ozorkowem.

— Kiedy zaczęliście zdjęcia? — Dokładnie 23 lipca tego roku i chcemy je ukończyć pod koniec sierpnia.

— To bardzo szybko. — Tak. Mamy już muzykę nagrałą do filmu, dialogi i monologi Józefa Skawińskiego. Chcemy, aby film nie był przeladowany słowem. Dlatego tak wiele uwagi przywiązujemy do muzyki. Poza tym staraliśmy się zdjęcia retrospektywne stylizować na malarsko z końca XIX wieku i pierwszych lat XX wieku. Taką stylizacją i muzyką powinny wytworzyć odpowiedni nastrój, pomóc w odbiorze filmu, który adresujemy do bardzo szerokiej widowni.

— Kiedy można spodziewać się tego filmu? — Kiedy ukaże się na ekranach telewizorów, to już zależy od TVP. My natomiast planujemy, że będzie gotowy jesienią. Oba odcinki jednocześnie, gdyż jest to film dwuodcinkowy.

Zanotował: ADAM KOT



Na zdjęciu reżyser filmu — Zygmunt Skonieczny z odtwórcą głównej roli — Józefem Pierackim. Foto: Wl. Nagy.

POWIEŚĆ W ODCINKACH

(1)

Curzio Malapartemu, pociecie kłęski ludzkiej

— *Uno-due!*

Wyrzucił ręce na boki i znów zgiął, a potem podniósł wysoko nad głowę: choć pulchniutki, były sprężyste i silne; końcami palców mógł dotknąć niskiego, brudnego i nierównego sufitu. W nieskończoność powtarzane ćwiczenie wykonywał nienaganie, jak na pokazie, a nie pomiędzy biurkiem i kanapą, na której tak często odpoczywał. Tylko z podnoszeniem nóg szło ciężko: od niedawna bolały go mięśnie w pachwinach i trochę mu to psuło humor.

— *Uno, due!*

Przesuwał ręką po owłosionych, miękkich piersiach i szeptał: — Spartaco, *giovanotto!* mój miły, nie zapominaj, że wszystkie to kiedyś były mięsne, nawet stalowe. — Reka opuszczała się w dół, ku brzuchowi, który przed jego oczyma i w dziobatym lustrze uwykuł się jak potężna spu-chlizna. — Tali nigdy nie miałeś — znów powiedział do siebie — tego ci nie wyrzucam, ale sadła nie chcę widzieć. — Gniewnie ugniał miękkie pokłady tłuszczu, a potem liczył w narastającym tempie:

— *Uno-due...*

Zegar ścienny wybił dwunastą. — Na swoje lata nie jesteś taki brzydki — powiedział pułkownik Allegretti do półnagiego mężczyzny w lustrze. — Wstręt w nim budziło spocone ciało, w którym, podczas gdy się schylał, zagłębiały mu się palce. — Nawet jesteś ładniutki: na jesieni strzelała ci pięćdziesiątka, a zęby wszystkie masz własne i ostre jak u wilka. — Skrzywił się na swoje niskie czoło i gęste, grube włosy, które dopiero teraz atakowała siwizna. — Naprawdę jesteś zanadto wtochaty; cały obrosłeś szeszczną i gdybyś się choć trochę zaniebdał, ludzi byś straszyl. — Czule pogłaskał chrząstkowaty, wydany nos, który jego od dawna już okrągłej twarzy nadawał wygląd niewyspanego ptaka. — Spartaco, jak szybko czas mija... a zresztą...

— *Uno-due!*

Przez otwarte okno dobiegała wrzawa. Lubił przysłuchiwać się żołnierzom, zapamiętywać ich żarty, nazbyt słone dowcipy; gdyby nie gimnastyka, zszedłby na dół, zmieszal się z nimi i pierwszy zaczął jedną z tych piosenek, które żołnierze tylko w marszu, i to niechętnie zaczynali. Cwiczyl skłony; krew napływała mu do skroni i żył na karku. Lecz dłońmi nie mógł dotknąć bosych stóp ani oznaczonego miejsca na podłodze. Drżały mu kolana, podczas gdy słuchał: *Giovinazza, giovinazza, primavera di bellezza...* — to przez rynek i przez Komendę przechodził oddział odbywający zwykłe przedpołudniowe ćwiczenia. Gdzieś spod plotu dobiegały głosy innych żołnierzy. Ich piosenka nie była pełna kurzu ani zmęczenia, ani niechęci. Przewodził miękki, natchniony głos: nikt słodziej niż Augusto Napolitano nie wymawiał słów spróchnych piosenek i pułkownik Allegretti, prostując się, jakby go przed sobą widział: zaniedbany, smagły żołnierz przebierał palcami po strunach gitary, ścigała wargi i z lubością wymawiała soczyste słowa.

Pułkownik Allegretti odsunął podkoszulek i koszule, bluzy z dystynkcjami i odznaczaniami, ładownicę z rewolwerem i pasami — wszystko, co się znajdowało na krok od niego. Zwało ściągnął spodnie i rzucił je aż w kąt. Na rozkraczonych nogach, z zacisniętymi pięściami stał pośrodku pokoju jak zapaśnik, z którym nikt z oniemiałego tłumu nie śmie chwycić się za bary. Wahadło zegara ściennego przypominało mu coś, co miał i on. Wahadło zwisało. Nie przyglądał się długo swoim biodrom ani pokaznej wypukłości między nogami. Wściekle chwycił przyrząd do rozciągania i zaczął huknąć:

— *Uno-due-tre...*

Rozciągał przyrząd z taką siłą, aż napinała się twarz Mussoliniego w ramach na ścianie; szczęśliwie Duce rysowały się jeszcze wyraźniej, słyhać było zgrzyt zębów, a oczy coraz bardziej rozszerzały się i czerniały. W sprawnych męskich rękach sprężyna po prostu grała, aż marszczyły się zwiędłe policzki króla: stał była za mocna dla tego cherlaka na siwym koniu. Z początku przyrząd nie dawał się całkowicie rozciągnąć i wargi królowej nabrzmiewały z wysiłku, wysokie czoło rosło pot, a czyste, promienne czarnogórskie oczy jak gdyby przewidywały sukces wprawionego w ruch przyrządu pułkownika.

— *Uno-due-tre... primavera di bellezza.* Pot splywał po wszystkim, a zawlascza po szkłe: Benito Mussolini wychodził z ram i rozciągał stalową sprężynę; to samo robił skwaszony człowieczek, zsiadłszy z konia; zgodnie z obietnicą królowa Jelena przybyła do ojczyzny; już przekracza ścianę i kapryśną sprężynę pułkownika. Niech żyje Duce. Diabeł wstąpił w stal. Niech żyje król. Przyrząd oddycha i rozgrzewa się. Niech żyją moje piękne i długie włosy. Mapa starego kraju pławi się w jeziorze potu; przy dźwięku żołnierskich nieprzyzwoitych i tych innych piosenek, w stukocie aluminiowych menażek nawet mapa ima się stać. W przyrządzie siedzą już dwa diable; z pomocą śpie-

szą generałowie ze zdjęć w gazetach — ci ze stolu, ci z kątów i ci spod kanapy. Nadzy, ziani potem są żołnierze i wszystkie ręce, które szarpia, gnębia, chcą pokonać przyrząd. Wahadło rozciągało się, niemal krzyczało, dawało znak, że pęknie. Niech żyje faszyzm — to grzmiały głowy, tuśte napęczniałe, i rozwartymi ustami chcą pożreć mapę na ścianie. Niech żyje nasza nieustraszona armia; niech żyją jej nieśmiertelni wodzowie. W sprężynie siedzą trzy diable. Kurczy się i krwawą broczy wielka mapa, wałę się góry, miasta, nikną rzeki: pęknie, zacznie się rozpadać wlochata ludzka skóra, jeżeli nadal będzie się tak napinała. Wierzymy w siłę buta. Cały świat rzucimy sobie pod nogi — powiedział Duce. — Tak jest — zawyli inni i zaczęli polykać sprężynę. Z mapy świata odpadło kilka krajów; bezgłośnie zatoneły w bladej morskiej bieżącej. Stał triumfowała: wstępował w nią już czwarty diabeł.

Gdy pokonał przyrząd i rozciągnął go do końca, jak wczoraj i przedwczoraj, pułkownik Allegretti z ulgą odetchnął. Nim zdążył opuścić nabrzmiałe ręce, pomocnicy uciekli na ściany, w swoje ramy pokryte kurzem: Duce cudzą ręką wytarł pot z podbród-

nego nie tylko żołnierze, podoficerowie i pstrokate dziewczyny — wyglądał jak ktoś, kto przybywa z groźnej, wielkiej dali. Ludzie przypatrywali mu się, a on w milczeniu mierzył rudą brodę. Był dość niski i szczupły, oprócz lornetki i innych oficerskich cacek nosił również ciemne okulary. Nieco zgarbiony, z nieposłusznym czubem włosów nad czołem, patrzył, jak do jego samochodu, zamaskowanego galeziami i zielskiem, zbliża się kołos — prawosławny pop Vukić; do tego czarnogórskiego niedźwiedzia czuł szczerą sympatię z powodu sliwownicy, pokera i innych brzydkich drobiazgów. Udał, że nie zauważa popa ani Augusta Napolitano, który nadchodził śpiewając jedną z najmniej przyzwoitych piosenek. Major był tak zmęczony, że nie miał siły nawet do poważnej rozmowy, a tym bardziej do żartów i pornografii Augusta. Zwrócił się do dyżurnego podoficera:

— Pan pułkownik u siebie?

— Tak, panie majorze — odparł podoficer z opaską na ramieniu.

Zwawo, choć bez entuzjazmu major ruszył ku schodom.

— Pan pułkownik kazał nikogo, ale to nikogo nie wpuszczają — powiedział dyżurny.



Rys. J. Szymbański — Glanc

ka i zza uszu, a splaszony król nawet na to nie miał siły, więc tylko szeptał coś królowej, która ze zgrozą patrzyła na sfałdowaną mapę.

Piosenki żołnierskie i ciężkie przekleństwa, kielkujące tuż pod jego oknem, znowu wznosiły się prosto w górę, odzyskały swą barwę i zapach. Pułkownik, niemal oślepiły z wysiłku, z oczami atakowanymi przez pot, który ściekał mu po czole i brwiach, ruszył w stronę lustra. Ledwie trzymał się na nogach, ale wytrzeszczał żywe sycylijskie oczy, wykrzywił twarz, gestykulował przed mapą: człowiek w lustrze też trzymał planów, nabierał ile się dało powietrza, pomstował na komunizm i usiłował śpiewać niepopularną wśród żołnierzy piosenkę *Giovinazza*. Wydawał się sobie silniejszy i bardziej spocony niż sobowtór z tamtej strony szkła. Czuli się tak szczęśliwi, że morze sięgało mu po kolana, świat był dla niego za mały, a lustro za ciasne.

Wahadło, mokre od potu, zwisało. Rozkraczony zwycięzca rósł we własnych oczach i w szkłe. Wahadło zaczęło szaleć. Ogarniała go cicha złość, że nikt na niego nie patrzy. Wahadło kołysało się, a że był upał, mogło mu stanąć spiżowe, niezawodne serce.



Major Antonio Peduto był spocony, oblepiony kurzem. Jemu też mogło stanąć serce. Zbierali się wokół

— Pan pułkownik u siebie?

— Tak, panie majorze — odparł podoficer z opaską na ramieniu.

Zwawo, choć bez entuzjazmu major ruszył ku schodom.

— Pan pułkownik kazał nikogo, ale to nikogo nie wpuszczają — powiedział dyżurny.

żołnierza z blizną na policzku. Spasowały ze złości, żołnierz wyrwał się i kłął na czym świat stoi — wzdrygały się nawet podejrzone dziewczyny.

— *Porca miseria!* — zawarczał żołnierz tuż obok dyżurnego i z całej siły kopnął aluminiową menażkę, którą jego kolega właśnie postawił na ziemi. — To oszustwo! Czternaście miesięcy tu siedzę, i ciągle tylko złe wiadomości. A powiedziano nam, że raz — dwa wytrzebimy komunizm! *Porco...* — urwał spalony skońcem żołnierz i raz jeszcze kopnął zgniecioną menażkę. Złorzeczył wszystkim świętym i Madonnie!

Napolitano próbował uspokoić go piosenką. Pop czestował go rakiją z flaszki. Jakiś cywil podsuwał mu kurze jajko. Blady i wystraszony sierżant powiedział:

— Ciszę trochę, Leo. Lepsza już Czarnogóra niż paka.

— Oszustwo! — wrzasnął Leo i zakasał rękawy.

— Leo! — powiedzieli równocześnie Napolitano, dyżurny i jedna z dziewczyn. — Leo nasz drogi!

Pop zasłaniał ich od słońca i Komendy szerokimi barami i długą sułanną.

Major Peduto stał przed drzwiami pułkownika i wpatrzony w skrawek sennego nieba słuchał głosu, który znał i lubił:

— Szturm na ludzkie mięso. *Uno-due*. Sztrum na niepotrzebne sadło. Precz z podbródkami i brzuszyskiem. Naprzód, Spartaco. Niech żyje siła męska, niech żyją przepiękne Włochy ze swą niepokonaną armią. Niech żyją wszyscy ze ścian oraz ci, których tu nie ma; niech żyją na szczęście, wyzwolonych narodów i całej trzeźwo myślącej, postępowej ludzkości. *Uno-due-tre*. Niech żyje faszyzm, przyszłość świata, świetlana przyszłość całego globu, nadzieja wiernych i uciemięzonych... faszyzm, któremu potrzebne są zdrowe ciała, stalowe mięśnie i wola taka jak moja!

Major pochylał się ku drzwiom, a krzyż z najbliższego dachu i orzeł przesłaniały skrawek nieba. Bawił go kurz spływający z brody, który kręcił na placu, słuchając z uśmiechem:

— Lecz dlaczego powtarzam, żeby żyli tylko oni... warto by to trochę zmienić. Czy nie lepiej i ładniej, żebyśmy żył ja, biedny i smutny, ja, którzy dłońmi nie mogę dotknąć nawet stóp, a co dopiero oznaczonego miejsca na podłodze. Otdąd będę wołał: niech żyje biedny ja, ja, który chce żyć! Niech żyje Spartaco Allegretti, strzelec, osiołek i szatan, który znalazł sposób, żeby schudnąć i odzyskać swoją dawną żołnierską sprężystość.

Jak zwykle, będąc sam, Spartaco łatwo wpadał w entuzjazm.

— Niech żyje nieustraszony, ładniutki pułkownik Allegretti, niech żyje też jego przyrząd. *Uno-due-tre*. Niech żyje, tysiąc razy. Po kilku minutach wytchnienia niepowstrzymany atak na swoje i cudze, zgnie mięso. A gdy się wojna skończy, to jest gdy zwyciężymy... — *uno-due-tre...* śmierć nierobom, szczerom kancelaryjnym i komunizm!

Zrozumiawszy, że lepiej wejść teraz niż później, major Peduto zapukał.

— Kto? — spytał rozgrzany Spartaco.

— Inspekcja — powiedział major.

— A gdzie ty się podziewasz, moja droga, brodata i pornograficzna inspekcjo? — spytał pułkownik, rozpoznawszy głos i gwałtownie rozwarłszy drzwi.

— Inspekcja zawsze zjawia się nie w porę — oświadczył major.

Przyjaciele uściskali się. Allegretti splotał potem, a Peduto nie lubił gimnastyki ani żadnych przyrządów.

— Miałeś wrocie z samego rana, Antonio — powiedział pułkownik. — Martwiłem się o ciebie.

Peduto machnął ręką i zadowolony, że uwolnił się z uścisku spoconego przyjaciela, podszedł do okna. Pułkownik posadził go w swoim fotelu, a sam usiadł na krawędzi biurka. Major chusteczką otarł sfałdowaną, szermiałe od słońca czoło. Zadzyszany pułkownik zaczął:

— Coś mi zmierzniałeś, *tigrino...*

— Dobrze, że wróciłem żywy — powiedział major niechętnie. — Z tymi Czarnogórcami naprawdę ciężko się uporać.

— Tak, z dzikusami zawsze jest ciężko — powiedział pułkownik jak gdyby do siebie.

— Dzikusi przynajmniej nie są przebiegli — powiedział major. — Ale ci... zrozum, Spartaco, od wieków uprawiają dziwny kult męstwa. Właśnie przez ten ich kult tak schudłem.

— A ja, czy zeschudłem? — cicho spytał pułkownik i znów przesunął rękę po piersiach.

(C. D. N.)

Przełożyła: DANUTA CIRLIĆ-STRASZYŃSKA

Fragment powieści, która ukaże się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

* Raz-dwa!
** Młodzieńcze
*** „Młodość, młodość, włosna piękność!” — znana włoska piosenka z czasów faszystowskiej dyktatury.

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

ENCYKLOPEDIA PRASY



"CON AMORE"

Najpierw czytaliśmy te powieści w odcinkach drukowanych w „Literaturze”. Później była oremiera filmu pod tym samym tytułem. Film zdobył sobie uznanie szerokiej rzeszy publiczności, przede wszystkim młodzieży, bo i głównie do tego odbiorcy był adresowany. Docekal się nawet przydomka „polskiej love story”, co nie było żadnym przytykiem, bo jak

wiadomo publiczność tłumnie wali na filmy, gdzie się można wzruszyć, ba, nawet sobie popłakać, na przekór wybrzydzeniu krytyków i dopiero teraz ukazała się powieść „Con Amore”, której autorką jest Krystyna Berwińska. Ponieważ powszechnie już wiadomo, że akcja powieści rozgrywa się w kręgu studentów PWSSM przygotowujących się do konkursu Chopinowskiego, że jej głównym tematem jest miłość i postawę młodych ludzi, więcej uwagi poświęćmy autorce — śmiało można nazwać — bestsellerowi ostatnich miesięcy Krystyna Berwińska jest absolwentką Wydziału Dramaturgicznego Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi. Pracowała jako kierownik literacki i reżyser teatralny. Jest autorką kilku sztuk wystawianych w teatrach Warszawy, Wrocławia i Gdańska. Jest również tłumaczką dramatów z języka angielskiego. „Con Amore” jest debiutem powieściowym Krystyny Berwińskiej. Książka zdobyła w roku 1975 II nagrodę w ogłoszonym przez SW „Czytelnik” konkursie na debiut powieściowy.

Nieczęsto się zdarza, żeby debiut, był od razu filmowany, jeszcze rzadziej się zdarza, żeby cieszył się autentyzną popularnością wśród odbiorców.

Krystyna Berwińska — „Con Amore”, Czytelnik, Warszawa 1976, str. 175, cena zł 17.—

"MARZENIA KRÓLÓW"

„Przez długie przecięte lata trudów i wysiłków nabywał umiejętności wymienione teraz na drzwiach jego biura. „Instytut Usług Doradczych Imienia Prudata” — Leonidas Matsoukas — prezes, doktor nauk humanistycznych — Uniwersytetu w Atenach, i Liceum Życia — Chiromancja — Astrologia — Analiza omenów. Pomoc w zakresie alchemizmu, moczenia w łożku i impotencji. Pisanie wierszy po grecku na różne okazje. Posrednictwo w sprzedaży i kupnie nieruchomości. Lekcje zapamiętania (.) Lekcje wymowy. Uszlacnianie osobowości. Agenci artystów w restauracjach. Banza (.) Wszystkie te przedmioty umiejętności posiadał bohater książki Petrakisa „Marzenia królów” — grecki emigrant mieszkający w Stanach Zjednoczonych — Leonidas Matsoukas, człowiek o ogromnej fantazji, gorącym sercu, człowiek, któremu wszelkie namiętności, jakie niesie życie nie były obce — od tyłu wzięciem Matsoukas przypomniał innego Greka — Synnagru i z nim, i z powieścią — Zorba. Tych dwóch bohaterów łączy jeszcze jedno, i Zorba i Matsoukas, w filmowych wierszach obu powieści grał ten sam aktor — Anthony Quinn.

Autorem „Marzenia królów” jest amerykański pisarz greckiego pochodzenia Harry Mark Petrakis.

Harry Mark Petrakis — „Marzenia królów”, przełożyła Z. Kuczyńska, Książka i Wiedza, Warszawa 1976, str. 211, cena zł 15.—

"CZAS ŻYCIA"

Jest to powieść o przeciętnej, młodej rodzinie francuskiej, w której „codzienna” próba życia, pospiesznie niestanowiącą pogoni, między za pieniądze, doprowadza wreszcie do konfliktu u czciowego Lukim problemami. Żyją nie tylko Francuzi, temat jest uniwersalny, toteż można wrożyć powieści „Czas życia” czytelnictwu popularności.

Autorem „Czasu życia” jest Andre Remacle, dziennikarz i literat urodzony i do tej pory mieszkający w Prowansji. Remacle jest od lat członkiem Francuskiej Partii Komunistycznej. Na co dzień współpracuje z dwoma dziennikami ukazującymi się w Marsylii; w jednym z nich kieruje działem krytyki literackiej i telewizyjnej. Wydał kilka tomiów poezji i kilka powieści, z których dwie przetłumaczono na język polski. Wczesniej ukazał się przedmiotem powieści „Czas życia”, powieści, za którą pisarz zdobył nagrodę Prix Populaire w roku 1966. Kinomani mieli również możliwość zapoznania się z wersją filmową tej książki. Wyświetlany na naszych ekranach film był reżyserowany przez Bernarda Paula.

Andre Remacle — „Czas życia”, przełożyła: M. Przymanowska, Książka i Wiedza, Warszawa 1976, str. 219, cena zł 15.—

"ŚLEDZTWO PROWADZI RADCA NEUMANN"

Z bogatego dorobku literackiego Ladisława Fuksa przedmiotem do tej pory na język polski dwie jego powieści „Pan Teodor Mundstock” oraz „Wariacje na najniższej skrzyni”, z których pierwsza była jego debiutem i od razu przyniosła pisarzowi ogromny sukces. Był to debiut dość późny, zważywszy — że czeski pisarz urodził się w roku 1923, a powieść „Pan Teodor Mundstock” ukazała się dopiero w roku 1963.

Obecnie, w „Czytelnikowskiej” serii „Nika” ukazał się kolejny przekład prozy Ladisława Fuksa. Jest nim powieść „Śledztwo prowadzi radca Neumann”. Charakterystyczna dla Fuksa: traktowanie wątku fabularnego jako punktu wyjścia do przeprowadzenia wnikliwej analizy psychologicznej bohaterów, potwierdza się jeszcze raz i w tej powieści. Sensacyjny wątek jest w gruncie rzeczy pretekstem, który umożliwia pokazanie coraz silnie narastającego konfliktu między ojcem a synem, konfliktu doprowadzającego w konsekwencji do dramatycznego finału.

Ladisław Fuks — „Śledztwo prowadzi radca Neumann”, przełożyła E. Witwicka, Czytelnik, Warszawa 1975, str. 411, cena zł 30.—

WARTO PRZECZYTAĆ

- T. DUDA — „Za wszelką cenę”, Kłw, 1976, zł 30.—
- PORTRETY WIELOKROTNE. GŁOSY O LENARTOWICZU (1852—1940), WL, 1976, zł 90.—
- T. KWIATKOWSKI — „Lunapark”, WL, 1976, zł 15.—
- T. PASZTA — „Z pokolenia w pokolenie”, Kłw, 1976, zł 40.—
- PIĘTNASTCIE OPWIADAŃ IBEROAMERYKANSKICH, WL, 1976, zł 35.—
- POLSKA DRUZYNA OLIMPIJSKA, MONTREAL 76. SIT, 1976, zł 15.—
- CH. A. REICH — „Zieleni się Ameryka”, Kłw, 1976, zł 45.—
- A. TIKOW — „Wstęp do nie napisanego poematu”, WL, 1976, zł 10.—
- ZRODZONA Z WALKI WSPOMNIENIA PEPEROWCÓW, Kłw, 1976, zł 45.—
- A. SKOCZYŁAS — „Na cztery wiatry”, WL, 1976, zł 10.—
- T. KEPINSKI — „Widok Gombrowicz i świat jego młodocian”, WL, 1976, zł 70.—
- W. KIELAR — „Anus Mundi”, WL, 1976, zł 80.—
- R. LISKOWACKI — „Teraz zawsze nigdy”, WPOz, 1976, zł 20.—
- J. NATANSON — „Mały bilard z grzybkami”, Czyt., 1976, zł 14.—
- D. WAWRZYKOWSKA-WIERCIOCHOVA — „Promienna”, Opowieść o Klaunderze z Działalności Potockiej (1801—1835), W. Poz., 1976, zł 80.—

Popularność wszelkich leksykonów i encyklopedii ogłoszona jest od dawna w prasie. Czyż można się więc dziwić, że i sama prasa — a ściślej Ośrodek Badań Prasoznawczych — zapragnęła mieć także własną encyklopedię. Jest to podobno pierwsze tego rodzaju przedsięwzięcie wydawnicze w świecie. Publikacja ma służyć „informacją, wyjaśnieniem i wskazówką przede wszystkim ludziom prasy na wszystkich etapach jej powstawania”.

I oczywiście jest to zamierzenie bardzo chwalebne i z pewnością potrzebne. Jako felietonistę zainteresowało mnie przede wszystkim hasło „felieton”. Muszę przyznać, że domyślałem się, iż felieton to „krótki utwór napisany w sposób lekki i efektowny, utrzymany w osobistym tonie”. Podejrzewałem także, iż „tekstowe wyróżniki tego gatunku mają charakter jedynie ramowych i ogólnych dyrektyw” oraz, że „nie tworzą one zwartego zespołu ustalonych cech pozostających w ścisłym strukturalnym związku”.

Mam także niejakię podejrzliwość, że domyślają się owych prawd również inni „ludzie prasy na wszystkich etapach jej powstawania”. A jednak jest to wspaniała, potrzebna księga, choć pokazując redaktorom technicznym formę drukową półcyfrową, a korektorom prezentując zestaw znaków korektorskich. Jest to wspaniała księga, której weale nie są potrzebne uzasadnienia inne niż to, że stanowi ona próbę systematyzacji wiedzy o prasie. I to może nie przede wszystkim dla ludzi prasy, ale w ogóle.

Patrzę na to od strony praktycznej. Jeżeli sobie zażartuję w felietonie, wygłoszę pogląd przemyślny lub zgola sprzeczny jakiegoś problem do absurdu — co mi wolno w felietonie, bo takie jest prawo gatunku, jak mogę udowodnić, że mam prawo do żartu, przewrotności i absurdu? Ja dotąd mogłem się odwołać tylko do zdrowego rozsądku i poczucia humoru Wielkich Niezadowolonych lub Małych Obrażonych. Wiadomo, że nie gwa-

rantowało to raczej pozytywnych efektów. Zawsze mógł mnie ktoś zapytać: „a macie, redaktorze, na piśmie potwierdzone to wasze prawo?”. A teraz mam to na piśmie. Proszę bardzo: „Encyklopedia wiedzy o prasie” pod redakcją Józefa Maślanko, pod kierownictwem docenta Walerego Piśarka, specjaliści bezdyskusyjnego, bo pokazowanego w telewizji... Strona 80, hasło „felieton”. Pisze tam: „podkreślenie osobistego punktu widzenia i subiektywnego charakteru wniosku, ocen i komentarzy należy do istotnych cech gatunku”.

Felietonistę ciekawią po sądach przez różnych obrazonych subiektywizm, przekorą i ironią — nie muszą już starać się o biegły sądowy. Wystarczy przedstawić sądowi „Encyklopedię”, gdzie wszystko jest „na piśmie”, a więc przemawia do wyobraźni.

Pamiętam jak pewien redaktor naczelny powołany w charakterze biegłego w procesie felietonisty powiedział to wszystko o cechach felietonu, co pi-

sze encyklopedia. Ale cóż z tego, skoro jego opinia została natchniona obalona przez adwokata strony przeciwniej. Adwokat powiedział: „Przecież biegły jest dziennikarzem, a więc kolegą oskarżonego, jego opinie są jego prywatnym zdaniem i nie mogą mieć żadnej wartości dla sprawy”.

A teraz? Niech ktoś spróbuje obalić definicję i opinie firmowane przez kilkunastu profesorów, potężny Ośrodek Badań Prasoznawczych i nobliwe, państwowe wydawnictwo „Ossolineum”.

Encyklopedia nie jest kolegą dziennikarza, nie jest z nim na ty, nie pila nigdy z nim wódki, nie jest wreszcie subiektywna... Encyklopedia jest kodeksem zawodowym dziennikarza i ma wartość obiektywną.

Tak jest i nie zmienia tej prawdy fakt, że piszę o encyklopedii z osobistego punktu widzenia i że te uwagi mają subiektywny charakter. Zgodnie zresztą z definicją felietonu.

WIDOK

LEWYM OKIEM

DOKOŁA WOJTEK

Trzydzieści lat temu profesor C.B. Lipman w Kalifornii ogłosił na posiedzeniu naukowego towarzystwa badania meteorów wyniki swych wieloletnich badań, stwierdzając, że w wnętrzu większych meteorów znalazł... bakterie. Meteor rozżarza się mocno przelatując przez atmosferę ziemską, ale tylko z wierzchu — twierdził amerykański uczoney. We wnętrzu w samym jądrze, tkwią mikroorganizmy, można je wydobyć, odchuchać, ożywić...

Świetny ówczesny felietonista i entuzjasta nauk ścisłych, Bruno Winaver, podchwycił te wiadomości i czym prędzej wykorzystał w swej publicystyce. „Jeżeli ktoś teraz wyciągnie wniosek, że Ziemia nie jest we wszechświecie jedyną planetą zamieszkaną — oponować nie będzie...”

Wiadomość o bakteriach we wnętrzu meteorów jakoś się wdała nie potwierdziła i poszła w zapomnienie. Dziś mamy metody

znacznie dokładniejsze, a mimo to nie można jakoś natrafić na prawdziwy, niewątpliwie dowód istnienia życia poza Ziemią. Pozostają więc nadal przypuszczenia i hipotezy, oparte raczej na rozumowaniu niż na dowodzie bezpośrednim. Pole do hipotez wciąż mamy tak szerokie, że znalazło się miejsce także dla Dänikena, którego teorię o jakichś tam pradawnych odwiecznych naszej Ziemi przez ludzi z Kosmosu gmańwiają z lubością najpoważniejsze pisma całego świata.

Nie wiem dlaczego wszystkie — niewątpliwie ciekawe i zastanawiające — przykłady Dänikena usiłuje się tłumaczyć wizytą gości z innych planet, a nikt nie chwytą za tezę chyba prostszą i łatwiejszą do przyjęcia: że tu, na Ziemi, istniała cywilizacja po prostu ludzka, tylko bardzo rozwinięta, i że uległa zagładzie. Przecież bardzo niewiele trzeba, żebyśmy my lub nasze wnuki doczekali

podobnego momentu: zagłady naszej cywilizacji. Może ocalałaby rozsiada po świecie garstka pogorzalców. Musieliby zacząć od nowa, odkrywać ogień, strugać kamienne noże, dorabiać się nowych maczug, potem — po tysiącach lat — nowych łuków, pancerzy, husarskich skrzydeł. Po tysiącach lat wyleźliby z jaskiń, zaczęli stawiać pierwsze szałaszy z gałęzi, sztuczne groty z kamieni, domy z pni drzewnych. Może to wszystko toczy się cyklicznie w kółko Macieju, a po każdym takim milionwiekoletnim obrocie zostaje gdzieś parę głazów o dziwnym kształcie, nad którymi głowią się później wnuki?

Przecież to całkiem prawdopodobne, że istnieje jakiś krąco-punkt zagęszczenia świata, eksploatacji jego zasobów, jego „przebiegu międzyremontowego”. Potem następuje kryzys, klapa, wymazanie wszystkiego co było, zdmuchnięcie niesfornych ludzkich mszyc razem z ich mozolnie wydumanymi urzą-

dzeniami. Kula ziemską oddycha jak po brzydziej egzemie, gestnieją gigantyczne paporcie i skrzypy, milionami lat układają się nowe pokłady węgla; tylną się w płytkich morzach zwaliste dzwiotwory o nowych kształtach, czekających na nowe nazwy. Pękają lądy, ziemia marszczy się tam, gdzie były równiny; Alpy i Himalaje kruszeją na dnie nowych oceanów. Po setkach tysięcy lat znów przychodzi wiek pary, elektryczności i ciekawych ludzi. Ciekawość ludzi znajduje na odległej wyspie szczyt betonowych pudeł. Czyżby przed tysiącami lat ktoś je przywiózł z dalekiej planety? Przecież pierwotni ludzie takich rzeczy nie znali!

I nikt się nie domyślił, że tu było dno oceanu, do którego wrzucono zasobniki z radioaktywnymi odpadami elektrowni atomowych. Nikt naszego istnienia żadną teorią, żadnym epitafrum, żadną wiarą nie uhonoruje. Ale na razie nie będziemy się tym przejmować. Jest piękne lato, chodźmy na plażę.

ĆWIEK

PROPOZYCJE

MITOLOGIA SEKSU

Ludzie już bardzo dawno stwierdzili, że są skłonni do idealizowania przeszłości, i że nie jest to najlepsze postępowanie. A mimo to robią tak nadal. Ileż to razy zdarzyło się nam słyszeć powiedzenie, że kiedyś to było dobrze, a ileż to razy każdy z nas sam tak mówił. Jeśli już rozmowa — zjedźcie na obyczaje, to wszyscy są skłonni wzdychać do dawnych, jednogłośnie stwierdzając, że dziś nastąpiło zepsucie, obyczaje. A przecież wystarczy tylko sięgnąć do literatury, aby przekonać się, że nasi przodkowie świętymi nie bywali. Nawet „Biblia” daje świadectwo śmiałym poczynaniom jej bohaterów.

„W tych szczęśliwych czasach nie potrzebuje się weale sprzedawczych dziewczyn, skoro spotyka się tyle uległości i przyzwolonych kobiet”. Tych słów weale nie napisał współczesny publicysta, a tylko sam Giacomo Casanova w XVIII wieku. Ale też nie miał racji, gdyż mimo, że „przyzwolone kobiety” były bardzo uległe i nie stroniły od cielesnych rozkoszy, to i prostytutki sobie nie krzywdowały, rozwijając bujnie swój proceder. Podobnie jak i dzisiaj. Helmut Schelsky, wydawczy w RFN w 1955 roku książkę pod tytułem „Socjologia seksu”, przypuszczał, że „rozluźnienie seksualno-moralnego rygoru małżeńskiego i wymogów zachowania dziewictwa w okresie narzeczeńskim” może doprowadzić do całkowitego zaniku prostytucji. Ale

stało się odwrotnie. Prostytucja i to ta luksusowa rozkwiata bujnie, co spędza sen z powiek wielu moralistów. W tymże RFN niczym grzyby po deszczu mnożą się różne „kluby”, „prywatne salony”. Ale nie tylko w RFN. W takich klubach można posłuchać dobrej muzyki, obejrzeć program rozrywkowy, porozmawiać na poważne tematy z dziewczynkami ubranymi w wieczorowe suknie, a później z jedną z nich spędzić parę chwil na osobności. W takich klubach, jak stwierdził szef kołofskiego „Club privé”, „mężczyzna nie jest zalotnikiem, lecz gościem”. A obok „klubów” i „salonów” pełno dziewcząt, które ogłaszały się w prasie, czekała na telefon i są zawsze gotowe do seksualnych usług. Nie jest to już prostytucja wprost. Polleja patrzy na tego typu praktyki przez palce. Luksusowa prostytucja یرzyma się z daleka od świata kryminalnego i vice versa. Tylko sutenerzy mają kłopot, jak sobie podporządkować te indywidualne seksualne inicjatywy.

Życie rozwiało więc złudzenia. Swoboda seksualna, jaka owładła społeczeństwa wysoko rozwiniętych krajów, nie zmniejszyła prostytucji i nie przyniosła szczęścia. Zachodzi seksuolodzy, psycholodzy i socjolodzy coraz częściej zastanawiają się nad skutkami „seksualnej rewolucji”. Włoski uczoney, profesor Giovan-

ni Caletti ogłosił 350-stronicowe dzieło, w którym powiedział kilka gorzkich słów prawdy o seksie Włochów. Jego zdaniem „Włosi są seksualnie niezaspokojeni”. Szuka ją oni tego w kontaktach seksualnych z licznymi goszczącymi w Italii turystkami. Ale profesor Giovannij Caletti ogłasza światu, że — wbrew utartej tradycji — Włosi nie są tak znakomitymi kochankami, jak się o nich sądzi i jak oni chcieliby, aby o nich myślano. W wyniku długich badań prof. G. Caletti doszedł do wniosku, że 79 proc. żonatych mężczyzn i 83 proc. zamężnych kobiet, którzy pobrali się z miłości, nie zasnęło szczęścia fizycznego. Tak podziawiana i głosna namiętność Włochów weale nie jest namiętnością, a jedynie ratunkiem, poszukiwaniem tego, czego nie mogą im dać Włoski. A bierze się to wszystko z wychowania, z przekonania, że seks jest czymś wstydliwym, zakazanym, poniżającym. Przy takim wychowaniu naturalne sprawy ludzkie nigdy nie nabiera właściwych wymiarów i właściwego znaczenia.

Ba, ale co to są te właściwe wymiary? We Francji obserwuje się nagłe zainteresowanie sprawami małżeństwa. „Le Monde” omawiając publikacje na ten temat podkreśla, że wyniki jednej z ankiet ujawniły, iż 90 proc. wypowiadających się uznaje

wierność małżeńską za wysoko cenioną, wręcz niezbędna, a 81 proc. uznaje za możliwe dochowanie wierności małżeńskiej aż przez 50 lat. No, proszę, a wydawałoby się, że Francja zawsze była najbardziej rozwiązła.

Do zupełnie nieoczekiwanych wniosków doszedł J. M. Cameron, podsumowując w „The New York Review” dokonania „rewolucji seksualnej”. Jego zdaniem „rewolucja seksualnej” to przyczyniła się do upowszechnienia przekonania, że w praktyce seksualnej wszystko jest interesujące, masturbacja nie jest szkodliwa, a wręcz przeciwnie: upowszechniła się „miłość francuska”, homoseksualność obojga płci przestał być traktowany jak zboczony, rozwijał się przemysł „porno” i różne wydawnictwa począwszy od „Playboya”. Ale też „rewolucja seksualna” ujawniła zupełnie nieoczekiwane skutki „uboczne”. „Jeśli wszystko jest interesujące — pisze on — a nie nie jest niepokojące, satyra traci swoje ostrze a tragedia ustępuje społeczeństwu nieprzystosowanemu”. Przywołuje więc na pomoc Zygmunta Freuda, stwierdzając, że „położenie kresu represji seksualnej mogłoby postąpić tkanine kultury”. I o dziwo, dodaje, że być może „rozumieją to niejasno kraje marksistowskie”. W rezultacie — jego zdaniem — okazało się, że kraje socjalistyczne zrobiły niegłupio, strzegąc swoje społeczeństwa przed „znakami burżuazyjnej korupcji”. No, proszę, kto by się tego spodziewał.

MARCIN RODAK

LIST OD KONIA

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE

ostatnio przegalopowałem się po obcej literaturze i chciałbym się tym i o wym w Panem podzielić. Jeśli zaś będzie się Panu wydawać, że jestem samochwałą, to zaklinam się na zoty i szpata, że nie o mnie chodzi, lecz o sławę naszego kraju.

Rozpoczne od potężnej encyklopedii Larousse'a, edycji poświęconej nam, koniom, a noszącej tytuł „Le cheval”. Polacy mają bardzo stare i trwałe tradycje kawalerskie. Bardzo wcześnie, bo już w 1506 roku Polacy importowali konie arabskie do Sławuty. Hodowla koni czystej krwi w Polsce była bardzo popularna, a polski Jockey-Club powstał (1841) niemal w tym samym czasie co francuski. Polska posiada doskonałe konie sportowe, zwłaszcza zaś nadające się do wszechstronnego konkursu konia wierzchowego.

Naprawdę zaś wzruszyła mnie książka wybitnego specjalisty angielskiego, pana Reginalda S. Summerhaysa „The Arabian

Horse”, wydana w USA w serii „Biblioteki Miłośników Koni”. Barwna jej okładka przedstawia szpaka Asdara, którego ojcem był mój rodak i Miss Dior. Najciekawszy, moim zdaniem, jest rozdział zatytułowany „Nasi imigranci”, z którego pozwałam sobie zacytować kilka fragmentów:

„W 1909 roku sprowadziliśmy do Anglii konia rzadkiej klasy — Skowronka. Nabywcą tego wspaniałego ogiera — siwka był znany rzeźbiarz Walter Winans (Amerykanin z pochodzenia, ale który w owym czasie mieszkał w Anglii). Winans wykonał rzeźbę Skowronka, którą następnie nabył od niego wraz z modelem brytyjski hodowca koni pan Musgrave Clark.

Obecnie do wielkich miłośników polskich koni należy miss Patrycja Lindsay, osoba o wysokiej klasie intelektu i czarującej aparycji. Sympatia p. Lindy dla polskich koni posunęła się do tego stopnia, że opanowała nawet język polski i bar-

dzo często odwiedza Polskę, gdzie dokonuje zakupu koni. Po raz pierwszy powróciła do Anglii z Celiną, Czantoria, Karambą, Carmencią i Damięcią. W tym samym roku, w czasie drugiej wizyty, zakupiła dla siebie Gerwazego, Gehenne, Grójca i Latawicę oraz dwa ogiery i sześć klaczy dla hodowców amerykańskich. W dwa lata później zawiązała do Anglii: Lafirynda, Mufta, Navarra, Chimerę, Argos i Biruta.

Nieco później przykład z p. Patrycji wziął dr Hontapel z Holandii, który dla swej stadniny w Laren importował między innymi Elżunię, siostrę Celinę (osiedliła się w Anglii) oraz Trypolitankę. Nasi imigranci zdobywają wiele cennych nagród na pokazach hodowlanych, jak na przykład Grójec, syn Cometa i Gastronomii. Wiele koni importowanych przez miss Lindsay nabyli następnie od niej hodowcy amerykańscy i australijscy.

Imigranci z Polski wyróżniają się maścią gniadą, podczas gdy wśród arabskich angielskich przeważają na ogół kasztany. A maść gniada, to cenna i rzadka cecha u arabsów.

Wspomniany wyżej pan R. S. Summerhays poświęca nam również dużo uwagi i serca w swojej książce pt. „Horses and ponies”. Jeden z wielkich polskich pisarzy powiedział: „Najskuteczniejszą modlitwą hodowcy koni jest troska o czworonóżnych przyjaciół”. Bez względu na epokę i rasę polskie konie cieszyły się wielkim popytem w całej Europie. Polskie konie mają w swych żyłach krew arabską, berberyjską, turecką, perską.

Jednakże arab odgrywał zawsze przodującą rolę. Najwyższą zaś rangę uzyskał w XVI wieku, kiedy król polski Zygmunt II

August był jedynym władcą w Europie, który posiadał (w Knyshynie) stadninę czystej krwi arabskiej. Arabi z pewnością wcześniej dotarli do Polski w czasie licznych wojen z Turkami i Tatarami... W 1803 roku książę Hieronim Sanguszko, jako pierwszy Europejczyk, wysłał do Arabii ekspedycję zakupującą koni, która w 1805 roku powróciła z pięcioma ogierami i jedną klaczą. W czasie drugiej wyprawy, w 1816 roku, pomocy w zakupie udzielił Polakom angielski rezydent w Aleppo, pan Rawson. Wtedy zawiązało do Polski dziewięć ogierów, a wśród nich Hadżlan i Dżelf. Ogierom towarzyszyła wtedy jedna klaczka.

Pragnęłbym również wspomnieć książkę p. Jaspera Nissena pt. „Welches Pferd ist das?”, wydaną w Stuttgarcie. Jest to fachowe dzieło, omawiające 102 rasy, ilustrowane zdjęciami i zdjęciami. Autor wspomina w swej książce o Janowie Podlaskim, opisuje konika. Wydaje mi się, że autor za mało uwzględnił poświęca tarpanom, a przecież prace prowadzone przez PAN, nad ich restytucją są wielkim dziełem w światowej nauce.

Przytoczyłem celowo dużo imion moich znakomych Koleżanek i Kolegów, aby w przyszłości nasi PT Siczakodawcy nadawali nam bardziej polskie imiona, jak np. Lafirynda, Skowronek, Elżunia, czy też Biruta — na chwałę Stefanowi Zeromskiemu.

Zginam szyję i dziękuję
Koni z Polski

P.S. Mój adres: znany jest mojemu Przyjacielowi, Janowi Janiszewskiemu, któremu dziękuję za pomoc w dokonaniu wyboru literatury.

„HAPPY END”



Lódzka grupa instrumentalno-wokalna „HAPPY END” powstała w styczniu ubiegłego roku z inicjatywy dotychczasowego kierownika muzycznego Teatru Piosenki „Bractwo Kurkowe” — Zbigniewa Nowaka.

Po dwóch miesiącach intensywnych prób, zespół przygotował swój pierwszy pełnospektaklowy program estradowy pn. „Masz moje serce”. Po raz pierwszy zaprezentował go na uroczystej premierze w Teatrze Rozmaitości 22 lutego 1975 roku, a niebawem z powodzeniem wystąpił z nim podczas II Polskich Targów Estradowych w Łodzi, zyskując zycyliwosc widowni i uznanie krytyki. Wkrótce potem „HAPPY END” dokonał pierwszych nagrań radiowych. Były to piosenki z muzyką Z. Nowaka: „Jak cie odszukac” (sł. R. Czubaczynski), „Słoneczne miasto” (sł. M. Mikulin i B. Sikorski) i wreszcie pierwszy wielki szlagier: sztandarowa piosenka grupy — „Szczęśliwy finał” („Happy End”), kompozycja Zbigniewa Nowaka do tekstu Magdaleny Mikulin i Krzysztofa Drzewieckiego. Utwór ten — jeden z przebojów radiowego lata 1975 — przysporzył sporo popularności młodemu zespołowi.

Od czerwca do sierpnia ubiegłego roku „HAPPY END” odbywał udane tournée po Związku Radzieckim, a we wrześniu gościł w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Natomiast jesienią przygotowano kolejny, drugi już spektakl estradowy, z którym aktualnie koncertuje w kraju.

W następnej sesji nagraniowej także zarejestrowano na taśmie utwory, które w krótkim czasie zdobyły antenę. Największym szlagierem okazała się znów piosenka tej samej, co poprzednio, spółki autorskiej (muz. Z. Nowak, sł. M. Mikulin i K. Drzewiecki) — „Taki jest świat”, choć i pozostałe („Nadaj do mnie SOS”, „Żyć aby kochać”) niewiele jej ustępują.

Ostatnio „HAPPY END” brał udział w festiwalach: opolskim i kolobrzskim. Właśnie na X Festiwalu Piosenki Żołnierskiej w Kolobrzegu odniósł duży sukces: uhonorowano zespół „Srebrnym Pierścieniem” za wykonanie — również nagrodzonego — utworu Romualda Zylńskiego i Jadwigi Urbanowicz „Wrócili chłopcy”.

Warto dodać, że „HAPPY END” wielokrotnie występował w programach telewizyjnych, a kilka piosenek wyłansowanych przez zespół znalazło się na płytach-singlach („Szczęśliwy finał”, „Żyć aby kochać”), i pocztówkach dźwiękowych firmy „Tonpress” („Słoneczne miasto”, „Taki jest świat”). W najbliższym czasie „HAPPY END” zamierza nagrać swój pierwszy longplay.

Od początku działalności zespół przechodził w zasadzie jedną tylko reorganizację personalną, w wyniku której ustalił się obecny skład grupy: Zbigniew Nowak — leader, vocal, clarinet, fortepian, Maria Jarzębska — vocal, instrumenty perkusyjne, Barbara Sówka — vocal, syntezator, Jacek Pogorzelski — gitara, vocal, Piotr Mokrzycki — gitara basowa, vocal, Waldemar Janicki — perkusja, vocal. Od paru miesięcy „HAPPY END” współpracuje z Wojewódzkim Przedsiębiorstwem Imprez Artystycznych w Olstynie.

Grupa uprawia pop-music, przy równoczesnym wykorzystaniu elementów dynamiki i melodyki tak charakterystycznych dla wykonawców rytm and bluesa czy rocka. Wszystkie produkcje grupy są pogodnie i optymistyczne, jak i sama nazwa zespołu. W najbliższym czasie „HAPPY END” wybiera się na występy zagraniczne (Bułgaria, powtórnie ZSRR) i dokona nagrań dla radia berlińskiego. Planuje się także opracowanie nowego programu składającego się głównie z premierowych piosenek. Co dalej — tego członkowie zespołu nie chcieli na razie zdradzić.

DOBROSLAW KLIMECKI



TADEUSZ GICGIER

FRASZKI O DROGACH

NA DRODZE

Na drodze gładkiej jak po stole
najszybciej groźą karambole.

NOGI

Jedna noga mówi: w drogę! —
i patrzy na drugą nogę.

NIE CHWAŁ SIĘ

Nie chwał się, że własną drogą
chodzisz, jeśli jest ubogą.

NAJMNIEJ

Z wszystkich dróg najmniej sprzeczności
budzi droga do wieczności.

ZDZISŁAW OKUNIEWSKI

ZBRODNIA PRZY ULICY CHOPINA

1. Był późny listopadowy wieczór z autobusu, który zatrzymał się na przystanku w Łaziskach Górnych, wysiadł milicjant i skierował się w stronę ulicy Chopina. Mógł drobny deszcz. Dochodziła godzina 20.30. Milicjant skręcił w uliczkę. Nie paliła się ani jedna latarnia.

W pół godziny potem stwierdzono, że na ulicy Chopina leży milicjant. Natychmiast wezwano pogotowie i wszczęto doraźne śledztwo. Niestety, nie dało ono żadnego rezultatu. Brakło jakiegokolwiek śladu walki, nie było narzędzi zbrodni, nie znaleziono żadnych śladów. W kaburze milicjanta nie było pistoletu.

Milicjant dawał jeszcze oznaki życia. Jak potem wykazały badania, napadnięty został dwukrotnie uderzony

ciężkim narzędziem. Doznał złamania kości czaszki i wstrząsu mózgu. Milicjant Paweł P. na całe życie został kaleką.

2. 17 listopada do sklepu PSS numer 3 w Mikołowie weszło dwóch młodych ludzi. Jeden z nich stanął przy wejściu, a drugi wyciągnął błyskawicznie pistolet i sterroryzował obecnych w sklepie klientów oraz kierownika. Podszedł następnie do lady i zrabował ponad 7 tysięcy złotych. Zabrawszy pieniądze napastnicy zbiegli, a pościg nie dał żadnego rezultatu.

30 listopada klient i kierowniczka sklepu rzeźniczego przy ulicy Krakowskiej w Mikołowie w przerażeniu ujrzyli wycelowaną w nich lufę pistoletu. Ze skrzyni znajdującej się pod ladą zrabowano 14 ty-

sięcy złotych. Ale kilku klientów wykorzystując moment nieuwagi napastnika zdołano uciec ze sklepu i wszczął alarm. Sprawców rabunku i tym razem nie zdołano ująć.

14 grudnia przed godziną 18 do sklepu przy ulicy Dworcowej w Łaziskach Górnych weszło dwóch mężczyzn i zażądało piwa. Gdy jeden z nich płacił banknotem stużłotowym, drugi wyciągnął z kieszeni rewolwer i mierząc w stronę kierownika wszedł za ladę. Pieniądze znów padły pastwą bandytów.

15 stycznia ubiegłego roku podobny napad miał miejsce w sklepie przy ulicy Reja w Mikołowie. Bandyci zabrali około 2 tysiące złotych.

31 stycznia na ulicach Puczyńskiej i Nowotki w Mikołowie rozległy się strzały. 24 lutego bandyci zostali ujęci.

3. Jeden nazywa się Jan Sz. ma lat 28, jest właścicielem wcale niezłego siedmiohektarowego gospodarstwa. Ale przestępcy nie chcieli się pracować na roli. Szukał lżejszej pracy. W hotelu robotniczym poznał Franciszka W.

Franciszek W. — też jest rolnikiem. Ma 25 lat. Szybko dogadali się. Postanowili rabować. Już w sierpniu chcieli zdobyć broń. Zaczęli więc „polować” na milicjantów i wojskowych. I oto 8 listopada na przystanku autobusowym w Mikołowie zauważyli, że do pojazdu wsiadł milicjant, który miał przy sobie broń.

Pojechali tym samym autobusem do Łazisk Górnych i tam udali się w ślad za funkcjonariuszem MO na ulicę Chopina. Paweł P. siedł śródkiem jezdni, zaś w odległości

kilkudziesięciu metrów za nim obaj napastnicy. Po zrównaniu się Jan Sz. szybko podbiegł do milicjanta i zadał mu tomem silny cios w głowę. Następne uderzenie pochodziło z ręki Franciszka W. Kiedy Paweł P. padł, zabrali mu nagan i zbiegli. Dalszy ciąg już znacie.

Jan Sz. porzucił pracę w kopalni „Upadłowa I” i żył na „szerokiej stopie”. Przygotowywał się do ślubu „jakiego nie było”, narzeczonej kupował cenne upominki, wyprawił wspaniałą ucztę z okazji chrzcina swego krewnego. Wraz z Franciszkiem W. planowali coraz to nowe napady. Kiedy jednak w czasie któregoś bandyckiego „skoku” w Mikołowie padły strzały, Janowi Sz. zaczęła się palić ziemia pod nogami. Dla zmylenia śladów przeniósł się do Mysłowic do Domu Górnik.

4. Świadkowie przestępstw dokonywanych przez Jana Sz. i Franciszka W. — choć terroryzowani — zapamiętali twarze zbrodniarzy. 29 stycznia jeden ze świadków poznał Jana Sz. Poprosił przechodnia, by ten śledził Jana Sz., a sam pobiegł zawiadomić milicję. Bandyta jednak zorientował się, że jest obserwowany i zbiegł. 31 stycznia ekspedientka jednego z obrabowanych sklepów również poznała bandytę. Na szczęście pierwszą osobą, do której zwróciła się o pomoc, był funkcjonariusz MO ubrany po cywilnemu.

Kiedy milicjant zbliżył się do Jana Sz. i zagadnął go, bandyta zaczął uciekać, ostrzeliwując się. Milicjant również użył broni. Niestety, ciemność pomogła uciec bandycie. Nie na długo to pomogło.

Tak się bowiem złożyło, że w Mysłowicach, gdzie ukryli się bandyci, znalazła się kobieta, która była świadkiem napadu w Mikołowie. I ona wskazała milicji sprawców.